Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 34 (1822) • 22–28 sierpnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Idziemy na wojnę?

str. 4

...i pokój na świecie

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 34

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl f5c8ff8e4d

WOJNA DOMOWA

No i wszyscy nie mieli racji, jak czepiali się Karola Nawrockiego za jego kibolską przeszłość. Jeszcze nikt w historii III RP tak potężnie nie wrzasnął „Czołem żołnierze” jak pan prezydent na obchodach Święta Wojska Polskiego. Aż echo poszło po całej Warszawie. Nigdy by mu tak pięknie nie wyszło, gdyby wcześniej nie nauczył się krzyczeć „Walić tabelę, Lechia zawsze na czele”. Inny popularny okrzyk Lechii brzmi ponoć „Trzaskowski, ty kurwo”, ale tego pan prezydent na pewno nie zna.

Kiedy w Warszawie przeżywaliśmy patriotyczne uniesienia z okazji rocznicy mało istotnej (czyt. str 4) bitwy sprzed 105 lat, w Anchorage na Alasce prezydent Donald Trump spotkał się z prezydentem Władimirem Putinem. Czy też – wedle obowiązującej w Polsce retoryki – Przywódca Wolnego Świata spotkał się ze zbrodniarzem wojennym. Największą histerię w polskim komentariacie wzbudził nawet nie tyle sam fakt spotkania, co czerwony dywan, który amerykańscy żołnierze rozwinęli na lotnisku między samolotami. Nawet nie przypuszczaliśmy, że czerwień jest tak bliska sercom naszej patriotycznej klasy medialnej.

Zanim ucichły echa dywanowych lamentów, pojawił się nowy powód rozpaczy: na spotkanie w Waszyngtonie będące skutkiem i kontynuacją tego na Alasce w charakterze obstawy prezydenta Zełenskiego pojechali przywódcy Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch, Finlandii, a także Komisji Europejskiej i NATO – a Polski nie. Bo prezydent myślał, że pojedzie premier, a premier – że prezydent, i w końcu nie pojechał nikt, i to wielkie nieszczęście, ale na pewno z winy tego drugiego. Co do tego, że nieszczęście jest wielkie, zgadzają się obie strony barykady – co wydaje nam się skądinąd cokolwiek zaskakujące, zważywszy że najwyraźniej nikt nas tam nie zapraszał. A gdzie polski honor, który zabrania pchać się, gdzie nas nie chcą?

Rzecznik Szłapka, zapytany, czy może rząd wyciągnie jakiś wnioski i wypracuje nowe procedury, orzekł: „ze strony rządu i premiera wszystkie procedury konstytucyjne i, powiedziałbym, takie zasady dobrej współpracy zostały zachowane”. Donald Tusk wykazał się większą otwartością, gdy po 48 godzinach powszechnego lamentu napisał na X: „Dajmy trochę czasu prezydentowi i jego kancelarii. Polska na zewnątrz wymaga jednolitego działania i współpracy wszystkich instytucji państwowych, a współpraca wymaga wzajemnej cierpliwości i zrozumienia. Pierwsze koty za płoty”. Tak dla porządku: skoro nawet szef rządu odnotowuje, że prezydent jest początkujący i jego kancelaria też – to może jednak znaczy, że od rządu działającego od 20 miesięcy można oczekiwać lepszej organizacji?

Gównoburza skończyła się jak nożem uciął w środę nad ranem, kiedy gruchnęło, że na pole kukurydzy pod Lublinem spadło coś i wybuchło. Polska edycja horroru „Dzieci kukurydzy” trwała od świtu na wszystkich kanałach informacyjnych, choć jedynymi ofiarami zdarzenia były szyby w oknach (istnieje spór co do liczby okien). O potencjalnych interpretacjach wydarzenia – nieprzewidujących spisku najwyższych osób w państwie w celu odwrócenia uwagi społecznej od absencji w Waszyngtonie – już rano wypowiedział się niezastąpiony wicepremier i minister obrony narodowej: „Na ten moment służby badają trzy wersje zdarzenia, zarówno drona rosyjskiego, przemytniczego, jak również aktu sabotażu, który mógł być dokonany na terytorium Polski”. Już o 16.35 Kosiniak-Kamysz nie miał jednak wątpliwości: „Rosja po raz kolejny prowokuje państwa NATO”; „po raz kolejny mamy do czynienia z prowokacją Federacji Rosyjskiej, rosyjskim dronem”; „o szczegółach samego zdarzenia powie pan generał Malinowski”.

Pan generał Malinowski: „Z naszej oceny dron jest przeznaczony do tego, by był bardzo ciężko wykrywalny i tak też jest, leciał prawdopodobnie bardzo nisko, po to, by ominąć nasze stacje radiolokacyjne. Na dzień dzisiejszy mamy tylko takie informacje”. Dopytywany, generał wyjaśnił: „Na pewno wiemy, że jest to silnik, który jest dostępny na wszystkich rynkach, made in China, na pewno wiemy, że te systemy, które były na pokładzie, są również dostępne”. Czy na pewno wiemy, że dron został wystrzelony z terenu Federacji Rosyjskiej? „Dowiemy się kiedyś może z historii, musielibyśmy zapytać tego, kto go odpalił, nie mamy takiej stuprocentowej możliwości określenia co do tego dronu, ale znamy miejsca, w których te typy dronów są odpalane”.

Na koniec konferencji wicepremier pouczył wszystkich, żeby „korzystali z wartościowych źródeł informacji, prawdziwych źródeł informacji, zweryfikowanych”. Akurat w tym przypadku zweryfikowanie pozostawia co nieco do życzenia – co wyraźnie widzi nawet zastępca dowódcy operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, który ewidentnie został wezwany, żeby wesprzeć kosiniakową koncepcję, że oczywiście znowu Ruscy. Może – nauczeni lekcją Przewodowa, gdzie ukraińska rakieta zabiła dwóch pracowników popegeerowskiego gospodarstwa, do czego prezydent Zełenski nie przyznał się do dziś – powinniśmy dokładnie zbadać sprawę, zanim ogłosimy wnioski? Choć z drugiej strony – jak doniósł jeden z reporterów – „mieszkańcy podkreślają zapach siarki”. Czyli jednak Ruscy. Prosto z piekła.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Sierpień 2013 r.

Świętego Amoura

Poseł PiS agent Tomek podał do prokuratury, że prezydent i premier prowokują na 11 listopada starcie patriotów z alterglobalistami. Tego dnia urządzają bowiem w Warszawie światowy szczyt zanieczyszczeń. Natychmiast przytomne media urządzają kampanię zaprzeczeń, że cokolwiek ma się wydarzyć. Jeśli jutro prof. Pawłowicz powie, że wyląduje Potwór Spaghetti, żeby ukąsić Kaczyńskiego, inni profesorzy poczną dowodzić, że ten potwór jest roślinożerny i w ogóle nie gryzie. W ten sposób PiS dyktuje narrację publiczną.

Świętego Laurenta

W Hiszpanii znaleziono ząb homo erectus, naszego przodka sprzed 1,4 mln lat. Na jego podstawie odtworzono wygląd małpoluda. Przeczytałem o tym w dniu, gdy dentysta wyrwał mi ząb. Zapakowałem go starannie i zabrałem ze sobą, bo może się przyda za 1,4 mln lat do odtworzenia tego, jak wyglądałem.

Świętej Klary

Kościół płaci rachunek za długoletnie wymuszanie bezkarności swoich funkcjonariuszy. Gdy ich ochrona prawna osłabła, znaczna część społeczeństwa dzieli księży na pedofilów, sadystów, złodziei i przyzwoitych, więc wyrzucanych z tej korporacji.

I jeszcze św. Klary

Dzikie zwierzęta czują, że jest im gorąco lub zimno – trudno, taki świat. W minione upały domowe koty i psy Daniszewskiej patrzyły na nią z wyrzutem: za co robisz nam takie piekło, nasz Boże?

Świętej Klarysy

Przeczytałem wspomnienia wojenne płk. Otto Skorzennego. Dowodził on w Waffen SS czymś w rodzaju naszego GROM-u. Wsławił się porwaniem Mussoliniego. Opowiada o II wojnie. Teraz już wiem, jak to było naprawdę. Genialny i prawy wódz Hitler chciał pokojowo zjednoczyć wszystkich Niemców w jednym państwie. Nie szykował się do wojny, którą z głupoty wywołała Anglia. Potem rycerscy Niemcy walczyli z bolszewikami w obronie Europy i dzięki ich dzielności kontynent nie stał się w całości sowiecki. Niemcy przegrały wskutek zdrady ich wywiadu wojskowego oraz wielu generałów. W Norymberdze powieszono niewinnych bohaterów. Obozy koncentracyjne były to straszne miejsca, w których po wojnie Anglicy i Rosjanie męczyli Niemców. Książka liczy 500 stron. Nie ma w niej słowa „Żyd” – taka kwestia nie istnieje. Akcenty polskie: w trakcie kampanii wrześniowej autor zastrzelił prawdziwego tygrysa.

W roku 1967 łódzki dziennik „Głos Robotniczy” napisał, że dowódca armii izraelskiej Mosze Dajan to przebrany esesman Skorzenny. Bzdury spiskowe z epoki narodowego „antysyjonizmu” są jednym z korzeni sekty smoleńskiej.

Świętego Hipolita

Pojechałem w Sudety na zjazd krewnych i powinowatych Daniszewskiej jako jej osoba towarzysząca, dawniej towarzysz. (Dawniejsze żony są teraz małżonkami). Okazało się jednak, że jako mąż Daniszewskiej jestem przyszyty do jej rodu i wpisany do drzewa genealogicznego, które – jak każde inne – miewa też zwiędłe listki. Daniszewska ma przesympatyczną rodzinę, czego nigdy bym się po niej nie spodziewał. Zjechało się z 50 osób, pies i dziecko. Daniszewska ongiś uwiodła snoba, którym jestem, twierdząc, że pochodzi z królewskiego rodu. Mianowicie jej babka Grabowska wywodzi się od kochanki Stanisława Augusta Poniatowskiego. Zjazd pokrzepił moje ego: prawie księżniczka Daniszewska, wychodząc za mnie, nie popełniła jednak mezaliansu.

Wracając, upadłem na głowę. Okoliczności: jadąc hen z Sudetów, stanęliśmy na noc w dobrym hotelu, dawnym pałacu zwanym nawet zamkiem. Nie wiem, w jakim mieście. Pijąc kolację w plenerze, upadłem z krzesłem do tyłu, rozwalając sobie łeb o granitową kostkę podjazdu. Krew ciekła, a Daniszewska mnie żegnała z ekspresją wdów islamskich dających rozpaczliwe przedstawienia przy zwłokach świeżo zastrzelonych mężów.

Dzięki skutecznej działalności Adolfa Hitlera, jednego z przywódców Niemiec w XX w., nie muszę urządzać swojego zjazdu rodzinnego. Przybyłyby tylko trzy osoby mówiące trzema językami: hebrajskim, włoskim i francuskim. Szalom, szalom i po rozmowie. To hebrajskie powitanie oznacza pokój, ale bez kuchni.

Świętego Armela

Moje wrażenia z rozprawy sądowej Tusk–Urban. Biedny jest ten sąd. Jak wyda wyrok na korzyść Tuska, internet zawrze i przeciw Tuskowi, i sądowi. Inne media zaś mogą przerwać ciszę i wydzierać się na temat wolności wypowiedzi. Jeśli oddali sędzia pozew premiera, sądownictwo narazi się rządowi, który może kombinować, jak zaostrzyć prawo lub nawet robić coś sądom na przekór, np. w budżecie. Przez co sędzia narazi się swoim chlebodawcom. Najlepiej byłoby dla Wysokiego Sądu, gdyby trwale zachorował.

Trudną też ma rolę adwokatka Tuska. Powiedziała, że prawo nie zna prima aprilisu, a prawo stoi ponad obyczajem. Perswaduję niniejszym mojemu pełnomocnikowi mec. Sarnie, że jego przeciwniczka się myli. W niektórych rodzajach spraw takich jak mobbing, napastowanie seksualne, zelżenie, molestowanie obyczaj decyduje o tym, jakie zdarzenie wypełnia lub nie te pojęcia. Np. w pewnych krajach molestowanie to już opowiedzenie pracownicy pieprznego kawału, w innych trzeba złapać ją za pierś lub tyłek. Góralka idąca na siano z chłopakiem zwyczajowo krzyczy „nie” i kopie, żeby nie miał jej za łatwą. Trudniej w tych warunkach w górach niż na Wybrzeżu żądać odszkodowania za gwałt. 10 lat temu topless stanowił normalny niestrój plażowy, dziś jest karaną mandatem nieobyczajnością. W komunie, gdzie zwyczajowo wszystko jest wspólne, zabranie kurtki koledze nie stanowi kradzieży. Krzyczenie do premiera na stadionie: „Tusku, matole, obalą cię kibole” to już obyczaj. Nie wiadomo, czy zniewaga, czy charakterystyka.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Podczas **wystawy w Porto** jeden ze zwiedzających zjadł banana ze słynnej instalacji „Comedian”. Miejmy nadzieję, że trawienie sztuki zakończyło się sukcesem.
- **Robert Bąkiewicz** usłyszał zakaz zbliżania się do przejść na granicy z Niemcami. Inni sąsiedzi Polski mogą Niemcom tylko pozazdrościć.
- **TV Republika** zbiera pieniądze na obsługę telewizyjną wizyty Nawrockiego w USA. Tradycyjnie transmisja z czekania pod drzwiami nie jest tania.
- **Andrzej Duda** zastanawia się, czy 80-letni ludzie powinni decydować o losie Polski. Tłumacząc: spieprzaj, dziadu.
- **Biskup Ignacy Dec** przypomniał na Jasnej Górze, że in vitro jest zakamuflowaną aborcją. Tak jest, dzieci rodzą się, aby zmylić katolików.
- **Karol Nawrocki** pozwał Onet za publikacje o sutenerstwie w Grand Hotelu. Ciekawe, czy na koniec Nawrocki sam siebie ułaskawi?

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Kto pokaże Kościołowi jego miejsce?

Kościół praktycznie rządzi Polską. Jego „agenci” są wszędzie: katecheci – szkoły, kapelani – wojsko, szpitale, kluby sportowe, więzienia, harcerstwo i wiele innych związków i stowarzyszeń, proboszczowie – praktycznie w każdej miejscowości. Cała ta „armia” zajmuje się głównie sączeniem nienawiści do aktualnie rządzących, do UE , do zdobyczy naukowych – ogólnie do postępu. Jeżeli państwo się nie obudzi, to będziemy tkwili w średniowieczu.

Historia uczy, że ustępstwa do niczego nie prowadzą. Konieczne są zdecydowane działania. Niestety, wydaje mi się, że w Polsce nie ma tak odważnych, którzy by odważyli się przeciwstawić Kościołowi. Mam nadzieję, że prof. Senyszyn utworzy nową partię, bo tylko ona jest w stanie pokazać Kościołowi jego miejsce.

Przykład Irlandii pokazuje, że jest to możliwe i daje znakomite efekty. Kiedyś jedno z najbiedniejszych państw, dzisiaj – jedno z najbogatszych.

Stały czytelnik

Kasta bezkarnych

Gdy czytam o reformie wymiaru sprawiedliwości (a raczej sądownictwa), to nie mogę wyjść z podziwu, jak ludzie w społeczeństwie coś znaczący potrafią pleść idiotyzmy nie na temat. Truizmem jest, że polskie sądy są niesprawiedliwe, ale nikt nie mówi o przyczynach. A ta jest jedna: sędziowie, czyli w swojej masie najbardziej zdemoralizowana grupa zawodowa w tym kraju, cieszą się konstytucyjnie zagwarantowaną bezkarnością. Zapewnia im to art. 180 i 181 Konstytucji RP, żałosny relikt Rzeczypospolitej szlacheckiej, państwa o ustroju niewolniczym, gdzie szlachta, jedyna wolna część narodu, sprawowała dożywotnio wszystkie urzędy. To państwo dało się w XVIII w. rozebrać. Immunitet sędziowski to nie przeżytek, jak łagodnie określiła prof. Genowefa Grabowska, lecz źródło całego zła, podobnego do prezydenckiego weta, bo tym jest faktycznie to prawo zapewnione prezydentowi – przekonujemy się o tym już od paru lat. Teraz wiemy, dlaczego Tusk nie zrobi żadnej reformy – ani tego nie chce sam, ani nie pozwolą mu na to dawni (a może i obecni?) przyjaciele z AWS.

Ryszard Porzuczek

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Resort sprawiedliwości zamiast neurochirurga dorobił się rzeźnika

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rewolucja zjada własne dzieci

Że niby nowy minister sprawiedliwości to prawdziwy drwal? Dajmy spokój. Zanim Waldemar Żurek wszedł do gabinetu, wymiar sprawiedliwości przerobił już operację kadrową, której skali nie powstydziłby się nawet Ziobro. Adam Bodnar – o czym lubią zapominać prorządowi komentatorzy – też dokonywał zmian kadrowych. W pół roku od grudnia 2023 r. do czerwca 2024 r. resort wyciął dziesiątki stanowisk kierowniczych w sądach powszechnych. Z uzasadnieniem „braku udziału samorządu sędziowskiego" przy nominacjach z lat poprzednich. Bodnar mówił: „systematycznie dokonuję zmian kadrowych". I właśnie dlatego twierdzenie, że Żurek jest nową siekierą na neosędziów, brzmi jak hasło z mema. Bo to, co robi, to kontynuacja tej samej gry – tyle że prowadzona inną retoryką.

A jak „nie", to co?

Oba podejścia muszą się mieścić w tym samym prawie. I jak w październiku 2024 r. Komisja Wenecka powiedziała: nie wolno regulować statusu sędziów w ramach odpowiedzialności zbiorowej, trzeba przypadek po przypadku, musi być droga odwoławcza – to każdy minister, czy się nazywa Bodnar, czy Żurek, ma się mieścić w tych nawiasach.

Żurek na początku wykonał dwa ruchy. Wycofał projekt ustawy z Komisji Weneckiej i ruszył z falą zawieszeń i wniosków o odwołanie 46 prezesów i wiceprezesów w całym kraju. Wszystko to przy zachowaniu deklaracji, że mechanizm wskazywania następców przez zgromadzenia – wprowadzony zwyczajowo za Bodnara – zostaje, ale decydujący głos ma minister. Inaczej mówiąc: dobędziemy listy z dołu, rozstrzygniemy u góry.

Artykuł 27 Prawa o ustroju sądów powszechnych stanowi, że minister może odwołać prezesa lub wiceprezesa sądu, ale po zasięgnięciu opinii kolegium sądu, a jak opinia jest negatywna, musi poprosić o opinię Krajową Radę Sądownictwa. Dalej jest jeszcze parę myków o tym, co i jak KRS ma rozstrzygać, ale nikogo to nie interesuje. Bo jak wiadomo, Żurek – podobnie jak TSUE i mnóstwo autorytetów prawniczych – niekonstytucyjnie wybranej KRS nie uznaje. I dlatego minister o żadną opinię jej nie poprosi. Jak się więc jakieś kolegium sądu z odwołaniem Żurka nie zgodzi, to minister zaczyna mieć poważnego strupa.

Murem za Nawrockim

No i ma. Szczecińskie kolegium powiedziało: „tak" dla odwołania prezesa Sądu Okręgowego Piotra Szarka i wiceprezesa Rafała Lili i „nie" dla odwołania sędziego Mariusza Nawrockiego, wiceprezesa SR w Stargardzie. Dlaczego nie? Bo jak uzasadniło szczecińskie kolegium, „jedyną podstawą opinii jest to, że procedura awansu odbyła się przed nieprawidłowo powołaną KRS. Mariusz Nawrocki był wcześniej referendarzem sądowym, jego ścieżka awansu była inna, obligowały go terminy" – mówił rzecznik SO sędzia Konrad Kujawa.

To nie jest obrona neosędziego. To jest obrona logiki systemu. Bo jeśli referendarz nie zostanie sędzią w określonym terminie, konsekwencją jest wyrzucenie w błoto aplikacji, asesury, pracy referendarskiej. Kilkunastu lat roboty.

Przed stanowiskiem kolegium szczecińskiego była uchwała Zgromadzenia Ogólnego Sądu Rejonowego w Stargardzie. Czyli wszystkich sędziów z tego sądu. Uchwała długa, napisana z CV sędziego Nawrockiego w ręku, z wyliczeniem faktów niewygodnych dla ministerialnej narracji. Że od 2010 r. sędzia naucza prawa na Uniwersytecie Szczecińskim, że w 2013 r. zrobił doktorat, że od 2020 r. jest doktorem habilitowanym prawa, że przeszedł całą sądową ścieżkę od asesora przez referendarza po sędziego i przewodniczącego wydziału rodzinnego, że sędziowie wydziału – starsi stażem – sami rekomendowali go na szefa. Nawrocki znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Referendarz z pełną aplikacyjną teczką i egzaminem sędziowskim „bardzo dobrym", zobowiązany terminami z ówczesnych przepisów, musiał stanąć do konkursu albo stracić szanse na awans. Startował przed ósmym grudnia 2017 r. – stara KRS go nie przeforsowała, bo nie chciał rzucić uniwersytetu. Potem była już tylko nowa Rada – jedyny organ, który mógł wysłać jego nazwisko na biurko prezydenta. I wysłał. Czy to robi z Nawrockiego komisarza politycznego? Nie. Robi z niego człowieka, którego kalendarz wepchnął w procedurę, jaka była. O to się w Stargardzie toczy spór: nie o ideologię, tylko o sens słowa „legalność" dla kogoś, kto ani razu nie wyciągał ręki po polityczną nagrodę.

Dorzućmy rzecz ludzką: w Stargardzie – o czym łatwo się przekonać – w obronie Nawrockiego stanęli murem sędziowie jego sądu, w tym liczni członkowie Iustitii. To nie jest standard, gdy idzie o neosędziego. To jest sygnał, że środowisko zna różnicę między oportunistą a człowiekiem postawionym pod murem przez system.

Obywatel z doliczonym czasem

Gdańskie kolegium poszło dalej niż szczecińskie. Stosunkiem 10:1 negatywnie zaopiniowało odwołanie wiceprezesa SO Przemysława Jasinkiewicza i prezesa SR Gdańsk-Południe Tomasza Jabłońskiego. Miłe rządowi portale i telewizje błyskawicznie doniosły o „neosędziowskim buncie". Tyle że fakty są mniej telewizyjne: Jabłoński, choć prezesem został w 2018 r., sędzią został wcześniej, poza turbosporną ścieżką. Jasinkiewicz – dziś wiceprezes okręgu – zaczynał orzekanie w połowie poprzedniej dekady, a w CV ma nominacje z czasów sprzed 2018 r. To nie jest duet sklejony taśmą neo-KRS.

Jeszcze zabawniej porobiło się w Katowicach. Tamtejsze kolegium sprzeciwiło się wnioskom Żurka o odwołania wiceprezesa tego sądu Piotra Kuli oraz wiceprezesa Sądu Rejonowego Katowice-Wschód Tycjana Kotary. Informację o negatywnym zaopiniowaniu obu wniosków przekazała w czwartek, w odpowiedzi na pytania Polskiej Agencji Prasowej, prezes Sądu Okręgowego w Katowicach Agata Stankiewicz-Rataj. Żeby było śmieszniej, odwołania Kuli domagał się już Bodnar i w czerwcu kolegium sądu również się na to nie zgodziło. W głosowaniu w sprawie sędziego Kuli było pięć głosów przeciw i pięć za, zaś w głosowaniu dotyczącym sędziego Kotary czworo członków kolegium głosowało za, czworo przeciw, dwie pozostałe osoby wstrzymały się od głosu.

„To kompromitacja kolegium i porażka obywateli" – grzmiał na takie dictum kolegiów sędzia Piotr Gąciarek, jeden z najbardziej rozpoznawalnych aktywistów Iustitii. „Sąd to nie jest po prostu zakład pracy. Osoba wadliwie powołana, czyli neosędzia, nie może być prezesem, bo chodzi o zaufanie społeczne".

I jeszcze Bartłomiej Przymusiński, prezes Iustitii: „Kolegium nie jest organem samorządu sędziowskiego, a neo-KRS działa niezgodnie z konstytucją, więc opinia tak wadliwego organu nie powinna być dla ministra wiążąca". Piękna publicystyka. Tyle że ustawa – jak wyżej – jest konkretna: gdy kolegium powie „nie", minister ma iść do niekonstytucyjnej KRS po opinię.

W Gdańsku kolegium broniło dwóch nazwisk nie dlatego, że ktoś zakochał się w neoproweniencji, tylko dlatego, że ich życiorysy nie były w oczywisty sposób „neosędziowskie". Tyle wystarczy, by opinia 10:1 przeciw była do obrony – prawnej i środowiskowej. I jeśli minister chce tę opinię odwrócić, proszę bardzo – ma ścieżkę z art. 27. Tyle że na końcu korytarza stoi neo-KRS, której Żurek nie uznaje.

Kolegia uszykowało PiS. Zrobiono tak, że zasiadają w nich prezesi niewybierani przez sędziów – to prawda. Ale to właśnie owe kolegia – z całym bagażem – stanowią dziś pierwszy próg legalności decyzji kadrowych. Zmienić je można ustawą. Do tego czasu – trzeba umieć z nimi żyć. Tak działają państwa, które bardziej lub mniej szanują swoje prawo.

Gdyby mierzyć sprawność ministra w liczbie zdjętych prezesów – Bodnar wyprzedzałby Żurka. Gdyby mierzyć w medialnych deklaracjach – Żurek bije rekordy. Ale boisko jest jedno.

A na nim średni czas postępowań w 2024 r. – w ujęciu ministerialnym – oscylował wokół sześciu miesięcy. Brzmi nieźle, dopóki nie zajrzymy do spraw cywilnych procesowych, gdzie Najwyższa Izba Kontroli wykazała średnią 16,6 miesiąca. I to nie są cyfry, które drgną od wymiany prezesa czy wiceprezesa. Ważne, ile czekasz na rozwód, ile na sprawę frankową, ile na apelację w walce z ZUS. Oczywiście personel kierowniczy ma znaczenie. Ale realną zmianę robią twarde wskaźniki: liczba sędziów w wydziale, liczba asystentów na sędziego, systemy informatyczne, mądre regulaminy przydziału spraw. A tego nie da się zadekretować najlepszą nawet konferencją prasową.

TADEUSZ JASIŃSKI

Żurek w służbie Kierwińskiego

Czy to początek szorstkiej przyjaźni?

Szuria od Bąkiewicza pod nazwą Ruch Obrony Granic, przeganiana przez służby spod zachodniej granicy, coraz częściej pojawia się na wschodniej flance Unii Europejskiej. Cel ma podobny: zbicie politycznego kapitału na rzekomym niekontrolowanym przepływie „ciapatych", któremu winni są Donald Tusk i jego bulterier Marcin Kierwiński oddelegowany ponownie do MSWiA.

Propaganda rządowa snuje baśni o 98-procentowej skuteczności zapory na polsko-białoruskim pograniczu, elektronice najnowszej generacji, tysiącach pograniczników, wojskowych i policjantów, pod okiem których nawet mysz polna się nie prześlizgnie. Tymczasem zupełnie niedawno w okolicach Puszczy Białowieskie chłopcy i dziewczynki poprzebierani w żółte kamizelki ujęli – po pościgu samochodowym – kilku przemytników wraz z żywym towarem.

Żeby było śmieszniej, samozwańczy obrońcy granicy najpierw dali cynk podlaskiej straży granicznej – alarmując, że jak ci się nie pośpieszą, to przemytnicy i przemycani umkną w głąb Polski. Według nieoficjalnych informacji pogranicznicy zalecili ludziom Bąkiewicza, żeby nie wpierniczali się w nie swoje kompetencje i grzecznie poczekali na przyjazd mundurowych. Nie poczekali – bo według ich opinii przestępcy już i tak mieli czasową przewagę nad służbami. Ruszyli zatem za nimi w pościg. Skutecznie. Pojmali uciekinierów i spokojnie poczekali na patrol.

Kiedy Kierwiński się o tym dowiedział, zdrowo opieprzył komendanturę Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej w Białymstoku.

Żeby ratować sytuację – bo wizerunkowo wyglądało to fatalnie i tylko czekać było, jak zagrzmi o tym TV Republika i inne pisolubne media – Kierwiński wymyślił ucieczkę do przodu. Pogranicznicy zaczęli obdzwaniać prokuratorów i sugerować, żeby postawili ROG-om zarzuty.

– Jakie? – dopytywali nagabywani prokuratorzy.

– Nie wiemy – odpowiadali pogranicznicy. – Kierwiński nam kazał.

Wszyscy indagowani prokuratorzy okręgu białostockiego pokazali im wała. Bo podobno mają swojego zwierzchnika i gwarantowaną ustawowo niezależność prokuratorską.

Niedługo później na przejściu granicznym w Świnoujściu odbyła się wspólna konferencja prasowa ministra spraw wewnętrznych i ministra sprawiedliwości – prokuratora generalnego.

Marcin Kierwiński o pogranicznikach: „Nie pozwolimy, aby ktokolwiek przeszkadzał im w pracy, obrażał".

Waldemar Żurek w tym samym temacie: „Nie pozostaniemy obojętni wobec zastraszania funkcjonariuszy i przejmowania ich funkcji. Jest na to odpowiedni artykuł kodeksu karnego, a mianowicie 227".

Sięgnijmy zatem do kk: „Kto, podając się za funkcjonariusza publicznego albo wyzyskując błędne przeświadczenie o tym innej osoby, wykonuje czynność związaną z jego funkcją, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku". Idziemy o zakład, że Kierwiński poskarżył się Żurkowi na podlaską prokuraturę.

Żurek co prawda w każdym wywiadzie opowiada o poszanowaniu niezależności swoich podwładnych – ale wie też, iż szef MSWiA jako jeden z najbliższych współpracowników Tuska ma w rządzie zdecydowanie mocniejszą pozycję.

Może dlatego wskazał prokuratorom publicznie, jak spełniać życzenia ministra Kierwińskiego?

Czy w opisanym przypadku stanie się tak, jak to było ostatnio – gdy jeden z prokuratorów odmówił postawienia zarzutów Bąkiewiczowi za obrażanie funkcjonariuszy na granicy i prokuratura nadrzędna wymusiła je potem na piśmie? Nie wiemy. Nie mamy jednak wątpliwości, że Kierwiński będzie chciał coraz częściej ręcznie sterować Żurkiem. Nawet tego specjalnie nie ukrywa. Jak pisała w poprzednim numerze Agnieszka Wołk-Łaniewska w tekście poświęconym brutalności służb mundurowych, oczekiwania szefa resortu wobec wymiaru sprawiedliwości są dość jasne. „Ci ludzie bronią naszego bezpieczeństwa i muszą mieć pewność, że w sytuacji, w której narażają własne życie, państwo stanie po ich stronie" – ogłosił Kierwiński. I dodał, że odbędzie na ten temat poważną rozmowę z ministrem Żurkiem. Bo wprawdzie „rząd przywiązuje wielką wagę do niezależności prokuratury", tym niemniej on, Kierwiński, „nie może zrozumieć decyzji jednego z prokuratorów o zatrzymaniu policjantów, którzy ujęli sprawcę przestępstwa"…

Panie prokuratorze generalny, schody przed panem.

JMP

eprasa.pl f5c8ff8e4d

15 sierpnia – Polski Dzień Bredni

Idziemy na wojnę?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Uszy puchły od słuchania bredni o 1920 r. z okazji tegorocznego Dnia Wojska Polskiego. Z najwyższych ust i w najwyższym tonie zabrzmiała opowieść o wiekopomnym naszym zwycięstwie nad Rosją, której wojska rozgromiliśmy i pogoniliśmy, ratując Polskę, Europę i świat – jak rzekł nasz nowy prezydent, skądinąd doktor nauk historycznych. Legenda tym razem pożarła rzeczywistość doszczętnie. Odsądzaniu od czci i wiary Rosji wraz z jej prezydentem, któremu z lubością nadawano epitet „zbrodniarz wojenny", towarzyszyło buńczuczne prężenie muskułów. Odnosiło się wrażenie, że jesteśmy jeśli nie w stanie wojny z Rosją, to – zgodnie z opinią Donalda Tuska – w jej przededniu. A zwycięstwo z 1920 r. z pewnością zostanie powtórzone. Legenda swoje, a rzeczywistość swoje.

Józef Piłsudski nigdy takich konfabulacji o 1920 r. nie opowiadał. Nie zaakceptował nawet dziennikarskiego pomysłu o „cudzie nad Wisłą", świadom, że był to szlagier endeckich gazet ukuty jemu na złość: „to nie Piłsudski, ale Matka Boska zbawiła Warszawę".

Marszałek szanował prawdę historyczną. Nie stroił się w szaty zbawiciela Europy i świata przed bolszewicką nawałą. Nie krył, że wojna rozpoczęta wczesną wiosną 1920 r. toczyła się o Ukrainę,

podpisał w tej kwestii umowę z Symonem Petlurą, której dotrzymać nie zdołał, za co w symbolicznym geście wobec petlurowskich oficerów wyraził ubolewanie: „Panowie Ukraińcy! Serdecznie was przepraszam!".

Pechowa klęska wojsk Rydza-Śmigłego na Ukrainie spowodowała, że Tuchaczewski znalazł się pod Warszawą, a na horyzoncie zamajaczyła groźba polskiej republiki rad. Błyskotliwe zwycięstwo Piłsudskiego w bitwie warszawskiej i wielki patriotyczny ruch obrony ojczyzny, ogarniający naród, zażegnały to niebezpieczeństwo. Nieprzyjaciel został z Polski przepędzony.

Ale czy – jak chce dr Nawrocki – został rozgromiony? Chyba nie. Po bitwie nad Niemnem wojska polskie nie pomaszerowały na Smoleńsk czy Petersburg, lecz chętnie przyjęły propozycję rozejmu i rokowań pokojowych; wojna wyczerpała obie strony.

Czy uratowała Europę przed bolszewicką nawałą? Sama Europa nie czuła się wówczas ani zagrożona, ani uratowana. W atakujących Polskę siłach bolszewickich nie dostrzegano „nawały" na kształt Attyli czy Mongołów.

Bitwę warszawską stoczyły siły po obu stronach niewiele przekraczające 100 tys. bagnetów. Francja wciąż miała w pamięci dwie bitwy z Niemcami o Paryż – nad Marną we wrześniu 1914 r. i w lipcu 1918 r. – w obu uczestniczyły armie przekraczające pół miliona. Warszawska w tym porównaniu nie wyglądała zbyt groźnie.

Francja, wówczas Polsce życzliwa, wysłała jej na pomoc generała Maxime'a Weyganda, szefa sztabu wojsk marszałka Focha; towarzyszył mu młody wtedy kapitan Charles de Gaulle. Nie wysłano nawet jednego pułku żołnierzy, nie widziano takiej potrzeby. Angielscy dokerzy, za cichą aprobatą rządu, bojkotowali załadunek zakupionej przez Polskę amunicji. Niemcy, którzy dysponowali milionami doświadczonych i zaledwie przed rokiem zdemobilizowanych weteranów wielkiej wojny, nie zmobilizowali ani jednego pułku. Nie czuli się zagrożeni i nie szykowali do walki z bolszewikami. Odwrotnie, planowali wykorzystać ich ewentualny sukces w bitwie warszawskiej do zagarnięcia Pomorza, Wielkopolski oraz Śląska dopiero niedawno przywróconych Polsce decyzją konferencji paryskiej.

Bitwa warszawska zakończyła się polskim zwycięstwem – ale cała wojna jedynie remisem. Zarówno wojskowym, jak i politycznym. Rozejm zawarto prawie dokładnie na tej samej linii rozgraniczenia wojsk, z której wojna startowała wiosną. Ta też linia stała się podstawą granicy międzypaństwowej wytyczonej traktatem ryskim trzy miesiące później. Ukraina została podzielona dokładnie tak jak przed wojną, polskie próby wytargowania jakiegoś fragmentu się nie powiodły. Negocjatorzy sowieccy oferowali Polsce z chęcią białoruski Mińsk, ale na przyjęcie tego „prezentu" nie zgodził się Stanisław Grabski reprezentujący Narodową Demokrację. Sądził, że nadmiernie umocniłoby to w Polsce żywioł prawosławny.

Granicę ustaloną w Rydze Rada Ambasadorów, działająca z mandatu konferencji paryskiej, zatwierdziła z dwuletnią zwłoką. Wahała się w przekonaniu, że przesuwa ona ziemie polskie za daleko na wschód. Gdyby po drugiej stronie była inna Rosja niż bolszewicka, z pewnością zaakceptowałaby granicę bliżej Bugu lub na Bugu. Polska byłaby krajem małym i słabym – w granicach z Rygi została średnim, choć nadal słabym. To też pomijana zwykle konsekwencja wojny 1920 r.

I na koniec: w tym roku nacjonalistyczny zgiełk i militarystyczne zadęcie na obchodach 15 sierpnia okazały się szczególnie nie na czasie. Gdy nad Wisłą wygłaszano jastrzębie mowy, ku Alasce zmierzał z Moskwy samolot tamtejszego „zbrodniarza wojennego", którego tam powitał z wylewną życzliwością najważniejszy polityk Zachodu. W chwilę zaś po powitaniu, ku przerażeniu lub podziwowi świata – zależnie od gustu, zaprosił na wspólną przejażdżkę legendarna „Bestią", limuzyną nr 1 w USA. Reset w stosunkach amerykańsko-rosyjskich dokonał się. Nie dziw, że dwa dni później na naradę w Waszyngtonie nie zaproszono nikogo z Warszawy. Jastrzębie okazali się niemile widziani. Sami są sobie winni.

M.Z.

Skołować, aby zaorać

Czy prezydent Nawrocki zacznie pertraktować z prezydentem Putinem?

GADMAN

Ledwo pan Karol Nawrocki zadebiutował w świecie polskiej wielkiej polityki, a już okazało się, że obiecywać umie jak jej weteran. Podczas gospodarskiej wizyty w Kaliszu obiecał Polakom 2 tys. km nowych linii kolejowych dla pociągów pędzących 250 km/h. Zapewnić mają obsługę wszystkim polskim miastom posiadającym powyżej 50 tys. mieszkańców, które znajdą się na przebiegu obiecywanych przelicznych linii kolejowej. Dotyczy to już wymienionych Kalisza, Płocka i Grudziądza. Ale wszystkie chętne miasta też mogą zapisać się do prezydenckiego grona kolejowych pieszczochów, by lobbował za nimi.

„Centralny Port Komunikacyjny został zaplanowany jako serce i zwornik nowoczesnego systemu komunikacyjnego, obejmującego wszystkie rodzaje środków transportu lądowego. Zakłada wygodne i wydajne połączenia z krajową siecią autostrad i dróg ekspresowych, ale jego głównymi arteriami mają być właśnie połączenia kolejowe. Brak dostępu do sieci kolejowej jest jednym z głównych powodów wykluczenia komunikacyjnego, szczególnie w Polsce Wschodniej" – czytamy w uzasadnieniu prezydenckiego projektu ustawy. I zauważamy, że pan prezydent, mówiąc o wykluczeniu komunikacyjnym, przyjął język lewicy. Czegoż nie robi się dla skołowania wyborców!

Perłą w koronie tej sieci szybkich pociągów ma być budowa wielkiego Centralnego Portu Komunikacyjnego. Oferującego całemu światu przesiadkowe loty do całego świata.

To gigantyczne lotnisko musi tu powstać, bo nim otwieramy oczy różnym niedowiarkom. Patrzcie, to jest nasze, przez nas wykonane, i to nie jest nasze ostatnie słowo! – taki przekaz ma iść do wszystkich Polaków.

Wielkie otwarcie CPK ustawowo zapisano na rok 2031. Zgodnie z prezydenckim projektem zapłacą za to podatnicy, bo rząd ma wyemitować „skarbowe papiery wartościowe" na sumę 66,180 mld zł. Ale równoważenie polskiego budżetu nie zajmuje tego polskiego prezydenta. On skupia się na obietnicach. Na wielkości CPK. Aby obiecane odpowiadało żywotnym potrzebom Polski i narodu polskiego, musi nastąpić powrót do „pierwotnej koncepcji" CPK. Tu, odwołując się do utopii wspaniałej przeszłości, prezydent Nawrocki przyjmuje język prawicowych konserwatystów. Łowi wszędzie, gdzie może.

Zaczarowanych bajek świat

Wezwanie do realizacji „pierwotnej koncepcji" jest zakłamane i puste intelektualnie. Bo pomysł budowy nowego przesiadkowego lotniska wraz z siecią szybkich dojazdowych pociągów ma już ponad 10 lat. W tym czasie powstało już kilka koncepcji. Niezrealizowanych. Za wszystkie zapłacili polscy podatnicy. Czyli pan, pani i ja też.

Najbardziej sensowną koncepcję lansował geostrateg, medialny celebryta, plagiator prac naukowych magister Jacek Bartosiak. W latach 2017–2018 członek Zespołu Doradczego Pełnomocnika Rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego. A w sierpniu 2018 r. powołany na prezesa spółki celowej do spraw budowy tego CPK.

Plan Bartosiaka był cwany, ale niepozbawiony realiów. Przewidywał budowę dużego przesiadkowego lotniska za chińskie pieniądze. Jako część ich gigantycznego projektu komunikacyjnego zwanego Nowym Jedwabnym Szlakiem. A także budowę sieci szybkich pociągów. To miała Polsce sfinansować Unia Europejska jako projekt związany z polityką Zielonego Ładu. Była to koncepcja niegłupia i w roku 2018 jeszcze całkiem realna.

Ale świat się zmienia, czego nie chcą dostrzec zapiekli fani wielkiej budowy i żyjący z propagowania niej cwaniacy. W przeciwieństwie do Jacka Bartosiaka, który 19 lutego 2019 r. zrezygnował z posady prezesa. Choć dalej mógł żyć z produkcji kolejnych koncepcji CPK na koszt podatników, jak choćby potem pan poseł PiS Marcin Horała.

Ale „pierwotna koncepcja" CPK straciła grunt ekonomiczny. Bo zaostrzyła się rywalizacja gospodarcza Chiny–USA. I z Waszyngtonu popłynęło ostrzeżenie, że chińskie lotnisko na terenie polskiego sojusznika nie jest mile widziane. Dodatkowo ówczesne rządy PiS rozpoczęły ideologiczne wojny z Unią Europejską. Takie starcia nie sprzyjały pozyskiwaniu funduszów z Brukseli. Polskich budżetowych pieniędzy wystarczało na opłacanie promocji projektu CPK i akcji wykupywania gruntów w okolicach Baranowa, gdzie ma powstać to lotnisko.

W międzyczasie świat komunikacji radykalnie się zmienił. Pandemia wirusa COVID-19 najpierw ograniczyła transport lotniczy. Potem wymusiła na liniach lotniczych trudno odwracalne zmiany. Redukowano loty przesiadkowe na rzecz połączeń dłuższych, wykonywanych przez nowe typy samolotów. Redukowano komfort przelotów, upychając pasażerów w klasie ekonomicznej, aby utrzymać relatywnie niskie ceny biletów. Dziś nie planuje się w Europie budowy nowych gigantycznych lotnisk. Bo nie gwarantują opłacalności.

Pendolino w każdej gminie

Pieniądze obficie wydane na promocję mglistych, ale powabnych koncepcji CPK sprawiły, że polscy wyborcy pokochali ideę wielkiego lotniska.

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Nieproszeni

W Polsce nikt nie zauważył, że pora sygnalizowania cnoty minęła

Rys. MARCIN CHUDZIK

Wersja rządowa: spotkanie w Waszyngtonie było organizowano przez Trumpa, człowiekiem Trumpa jest Nawrocki, więc nieobecność Polski to hańba dużego pałacu. Wersja prezydencka: spotkanie było w „formacie Koalicji Chętnych", za który odpowiada Europa, Europejczykiem jest Tusk, więc to klęska rządu.

Myślę sobie, że ów spór ma niejaki wymiar terapeutyczny. Łatwiej zwalić winę na drugą stronę niż przyznać, że

Polski nie było w Waszyngtonie, bo nikt jej tam nie chciał: ani Zełenski, ani Trump, ani liderzy europejscy. Albowiem nadszedł czas negocjacji z Rosją, a w tym Polska może tylko przeszkadzać.

Histeryczna narracja z rozmów Trumpa z Putinem na Alasce, utrzymana w tonie „czerwony dywan dla zbrodniarza", na pewno poprawia samopoczucie deklamujących tę frazę polskich polityków i komentatorów, ale nie przybliża końca wojny.

A tego właśnie pragną Ukraińcy.

Ani kroku wstecz?

Badanie Gallupa z początku sierpnia wykazało, że stosunek obywateli Ukrainy do dalszej walki po trzech i pół roku wojny zmienił się o 180 stopni. W 2022 r. 73 proc. opowiadało się za „walką do zwycięstwa", a 22 proc. chciało negocjacji na rzecz zakończenia wojny „ASAP" – tak szybko, jak to możliwe. Teraz 69 proc. chce negocjacji, a 24 proc. – walki aż do zwycięstwa. Cokolwiek by znaczyło „zwycięstwo" – przecież nikt już nie wierzy odzyskanie Krymu i całości Donbasu, co było dokładnie widać w rozmowach w Waszyngtonie. Dotyczyły gwarancji bezpieczeństwa, wymiany jeńców, powrotu ukraińskich dzieci – nikt nie wspominał o powrocie do „uznanych w prawie międzynarodowym granic".

To, co wydaje mi się w polskiej narracji szczególnie ponure – to słabo skrywana nadzieja, wyrażana przez wielu polityków i komentatorów, że rozmowy pokojowe się nie powiodą, a najlepiej, że w ogóle do nich nie dojdzie. Ta nadzieja nie jest zresztą ograniczona do elit: najnowszy sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej" wykazał, że – odróżnieniu od Ukraińców – Polacy są gotowi na ich dalszy heroizm. Zaledwie 37,4 proc. odpowiada „tak" na pytanie „czy dążąc do zakończenia wojny, Wołodymyr Zełenski powinien zgodzić się na ustępstwa względem Rosji"; 50,5 proc. respondentów mówi, że ani kroku wstecz. Szczególnie chętni do walki cudzymi rękami są wyborcy obozu rządzącego – aż 77 proc. jest przeciw ustępstwom.

Zresztą samo słowo „pokój" stało się w polskim dyskursie publicznym zgoła niecenzuralne; ostatnio zachwycił mnie niejaki Daniel Szeligowski, specjalista od Europy Wschodniej w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, który – zapytany, czy zawieszenie broni może prowadzić do pokoju – odparł z rozbrajającą szczerością: „Bardzo nie lubię słowa pokój". Bo jakiż to pokój, jak Ukraina nie wygra…

Tymczasem na poniedziałkowej konferencji w Waszyngtonie o pokoju było bardzo dużo. Za pokojem wypowiadali się wszyscy europejscy politycy z obstawy Zełenskiego: Ursula von der Leyen, Mark Rutte, Friedrich Merz, Giorgia Meloni, Keir Starmer, Emmanuel Macron, Alexander Stubb. O pokoju mówi namiętnie Donald Trump – usłyszeliśmy też to słowo więcej niż raz z ust przywódcy Ukrainy.

Nauka z Mannerheima

Wśród tuzów z grupy wsparcia Zełenskiego uwagę zwracał prezydent sześciomilionowej Finlandii Alexander Stubb – do tego stopnia, że uznał za stosowne wyjaśnić światowej opinii publicznej, dlaczego znalazł się w gronie najważniejszych europejskich polityków.

Zapalony golfista Stubb uchodzi za jednego z „zaklinaczy Trumpa", obok premier Meloni i sekretarza Ruttego. Ich obecność, w powszechnym przekonaniu, miała poprawić atmosferę i pomóc uniknąć nastroju z lutego, kiedy to Trump z Vance'em zjebali Zełenskiego jak burą sukę.

Poza dobrym nastrojem Donalda Alexander Stubb wniósł jednak do dyskusji jeszcze jeden niezwykle intrygujący element. Mało kto to zauważył – a już na pewno nie prezydent USA, który nie jest szczególnie biegły w europejskiej historii.

Stubb stwierdził otóż, że jest na tym spotkaniu, bo Finlandia ma 1300 km granicy z Rosją – ale nie tylko: „Mamy własne doświadczenia historyczne z Rosją, począwszy od II wojny światowej, wojny zimowej i wojny kontynuacyjnej. Znaleźliśmy rozwiązanie w 1944 r. i jestem przekonany, że i w 2025 możemy znaleźć rozwiązanie, aby zakończyć rosyjską agresję, wypracować i osiągnąć trwały i sprawiedliwy pokój".

Pogadajmy o rozwiązaniu z 1944 r. Bo to bardzo ważne. Niedawno pisał o tym u nas prof. Andrzej Werblan („Sztuka przegrywania wojny", „NIE" 12/2025). Marszałek Carl Gustaf Mannerheim – taki fiński Piłsudski – w trakcie II wojny światowej dwukrotnie podpisał ze Związkiem Radzieckim bardzo trudne porozumienie, za każdym razem ratując odrębność państwową i niepodległość Finlandii. Która – przypomnijmy – była przez większość wojny sojusznikiem Niemiec. Wiosną 1944 r., wobec zbliżania się Armii Czerwonej, Mannerheim zerwał z Hitlerem i podpisał ze Stalinem pokój, który obejmował duże ustępstwa terytorialne, uznanie hegemonii ZSRR w obszarze polityki zagranicznej i wojskowej, wyeliminowanie ze sceny politycznej partii jawnie antyradzieckich etc. – ale za to pozwolił zachować niekomunistyczne rządy i odrębność ustrojową. To model zwany finlandyzacją, będący przez dekady przedmiotem zazdrości wielu krajów wschodniego obozu. Po podpisaniu porozumienia Mannerheim złożył urząd prezydenta, wycofał się z polityki i wyjechał do Szwajcarii. Do dziś jest w Finlandii niekwestionowanym bohaterem narodowym, a w 2004 r. wygrał plebiscyt na najwybitniejszego Fina w historii.

Być może to właśnie prezydent Stubb chciał powiedzieć: że pora na ustępstwa w imię pokoju, który pozwoli Ukrainie powrócić do względnej normalności, zacząć odbudowywać kraj – i nie krwawiąc, poczekać na zmianę sytuacji geopolitycznej.

Być może nie byłoby także złym pomysłem, gdyby Wołodymyr Zełenski, wzorem Carla Gustafa Mannerheima, wziął to na klatę, a potem odszedł z polityki. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ostatni raport departamentu stanu USA o przestrzeganiu praw człowieka na Ukrainie, który mówi o wykorzystywaniu stanu wojennego do likwidowania wolności prasy i praw pracowniczych, o dławieniu związków zawodowych, o nielegalnych aresztach i torturach.

Żołnierze albo mudżahedini

Oczywiście nikt nie wie, jakie warunki uda się wynegocjować. Ani co ma oznaczać koncept gwarancji bezpieczeństwa „podobnych do artykułu 5" traktatu NATO. Co w ogóle może być „podobne" do zapisu stanowiącego, że atak na jeden kraj NATO jest atakiem na wszystkie?

Natomiast jedna informacja wydaje mi się – paradoksalnie – bardzo uspokajająca. Otóż, że te gwarancje mają obejmować potężną ukraińską armię.

I nie zrozumcie mnie źle: jako zagorzała pacyfistka jestem przeciw każdej armii, a już zwłaszcza potężnej. Jestem przeciwko wydatkom na wojsko, które zawsze odbywają się na koszt ludzi pracy, a nigdy nie oznaczają podwyższenia podatków dla najbogatszych. Kolosalne nakłady na wojsko w kraju takim jak Ukraina, gdzie na dekady oligarchizacji i nędzy społeczeństwa nałożyły się zniszczenia wojenne, uważam za pomysł szalony. Choć wcale nie bardziej cieszy mnie myśl, że to Europa kupi Ukrainie w Ameryce broń za 100 mld dol. Europejczycy także już płacą za militarne szaleństwo swoich przywódców: pogorszeniem jakości opieki zdrowotnej, edukacji, programów społecznych. Ale uważam, że utrzymanie sprawnej, karnej i dobrze opłacanej armii ukraińskiej jest w naszym najgłębszym interesie. I nie ma to nic wspólnego z Rosją.

Mamy oto za miedzą kilkaset tysięcy ludzi uzbrojonych, zdemoralizowanych przez wojnę, nauczonych zabijania (ostatnio chwalił się tym w Polsacie ambasador Wasyl Bodnar: „Ukraina to jest wartość dodana do NATO, bo Ukraina walczy i umie zabijać Rosjan, a wy jeszcze nie"). Ludzi, którzy na pewno nie będą zadowoleni z warunków rozejmu czy pokoju – skoro nie będzie on oznaczał odzyskania Krymu i Donbasu, i głowy Putina na patyku. Ludzie ci poczują się zdradzeni przez kolektywny Zachód – a więc także Polskę.

O tym, jak bolesne są konsekwencje rozżalenia nieulękłych bojowników – wspieranych, a później porzuconych przez zamożnych sojuszników – Amerykanie przekonali się 11 września 2001 r. Potencjalni terroryści ukraińscy, wkurwieni na NATO, które ich nich chce, nie będą musieli uczyć się pilotażu, wystarczy, że przejdą przez zieloną granicę. Utrzymanie ich w strukturach ukraińskiej armii jest warunkiem sine qua non polskiego bezpieczeństwa. Całkiem dosłownie.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

A zwłaszcza obietnice Pendolino w każdym powiecie.

Polscy politycy rychło zauważyli to i jęli obiecywać likwidację wykluczenia komunikacyjnego w swych okręgach wyborczych dzięki budowie tam kolei dużych prędkości. Bo cóż szkodzi obiecać – można zacytować ze skarbnicy polskiej myśli politycznej. Wyborcy to kupią, bo chcą takiego współczesnego opium dla wyborczego ludu. Nieważne, że

takie obietnice nie trzymają się zdroworozsądkowej kupy. Bo nie ma na świecie kolei szybkich i zatrzymujących się w każdym miasteczku. Szybkość polega też na ograniczaniu przystanków.

A modna dziś likwidacja wykluczenia komunikacyjnego polega na tworzeniu licznych połączeń realizowanych przez autobusy szynowe i busy. Dostosowanych do lokalnych potrzeb. Tańszych w budowie i obsłudze niż koleje dużych prędkości.

Warto przypomnieć, że polscy parlamentarzyści nie płacą za bilety kolejowe i lotnicze w naszym kraju. Nawet za pierwszą klasę w Pendolino. Nie muszą wiedzieć, że wielu ich wyborców, nawet uprawnionych do zniżek, nie stać na przejazdy szybkimi i luksusowymi pociągami. Zachęcam do podróży na trasie Warszawa–Kraków i podobnych, gdzie pasażerowie wybierają tańsze, choć dłuższe czasowo rejsy. A jednocześnie ankietowani głosują za kolejami szybkimi. Bo tak nakazuje duma Polaka.

Komu ten hub?

Prezydent Nawrocki obiecuje budowę wielkiego lotniczego hubu. Dowodu na wielkość Polaków. Kolejnego powodu do ich dumy. Niestety, obecnie, poza dumą nie ma społecznych i ekonomicznych uzasadnień do budowy lotniskowego giganta.

Są za to obawy, że nowe lotnisko zaszkodzi już istniejącym. Obecny port Chopina na warszawskim Okęciu ma być zamknięty w 2032 r. Tereny po nim staną się łupem deweloperki. Duma PiS, lotnisko w Radomiu, też pójdzie do likwidacji. Płaczu po nim wielkiego nie będzie, bo ruch zawsze był tam mały, a spłacany przez podatników deficyt coraz większy.

Podobny los czeka lotnisko w Łodzi. Do likwidacji pójdzie też lotnisko w Modlinie. Nowy port lotniczy CPK zaszkodzi również świetnie radzącym sobie lotniskom w Gdańsku, Krakowie, Wrocławiu, Katowicach. Zabierając im chętnych do zagranicznych lotów.

Rys. JANUARY

Dodatkowo zrealizowana sieć szybkich kolei między metropoliami odbierze im klientów lotów krajowych. Tak to obiecywana przez polskich polityków walka z wykluczeniem komunikacyjnym doprowadzi do krajowych wojen komunikacyjnych, kanibalizacji lotnisk lokalnych przez ustawowego giganta CPK.

Polska prawica prowadzi właśnie gromką antycudzoziemską, ksenofobiczną propagandę. Też aby złowić skołowanych wyborców. Efektem jej będą antypolskie konsumenckie nastroje. Nie tylko w państwach islamskich, także wśród bliższych i dalszych sąsiadów. Wizja kontroli na granicach naszego państwa też nie zachęci do lotów przesiadkowych. Na pewno zagraniczna konkurencja lotnicza będzie te negatywne nastroje wzmacniała i wyolbrzymiała je jak aktywiści PiS i Konfederacji zagrożenie obcymi migrantami.

W polskich dyskusjach o lotniczym CPK jest jeden ważny temat tabu. Żaden z polityków i większość ekspertów nie chcą wspominać, że rosyjska przestrzeń lotnicza jest nadal zamknięta dla wszystkich samolotów startujących z Polski. Oprócz chińskich. To czyni przelot klientów pragnących lotów do Azji z polską przesiadką dłuższym i droższym. Po co mają latać do Warszawy, aby przesiadać się w Stambule, Dubaju, Katarze, by potem dolecieć do Azji, skoro można od razu do Stambułu, Dubaju, Kataru. Nikt nie wie, kiedy rosyjska przestrzeń zostanie otwarta dla samolotów z Unii Europejskiej. Można spekulować, że Polska dostąpi tej łaski jako ostatnia z UE. Po Francji, Hiszpanii, Włoszech, Niemczech. Aby tak się nie stało, prezydent Nawrocki musi zacząć rozmawiać z prezydentem Putinem. Zwłaszcza że jego idol Trump gada z Putinem jak Polak z Polakiem.

Ale nie wymagajmy od prezydenta Nawrockiego skuteczności w budowie CPK. Jego plan polityczny jest prosty. Obiecać wszystko, także CPK, aby maksymalnie skołować mózgi wyborców.

By potem dzięki ich głosom zaorać Donalda Tuska i jego ekipę.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Komitet Monitorujący Wtopę

Jak to z kasą z KPO było

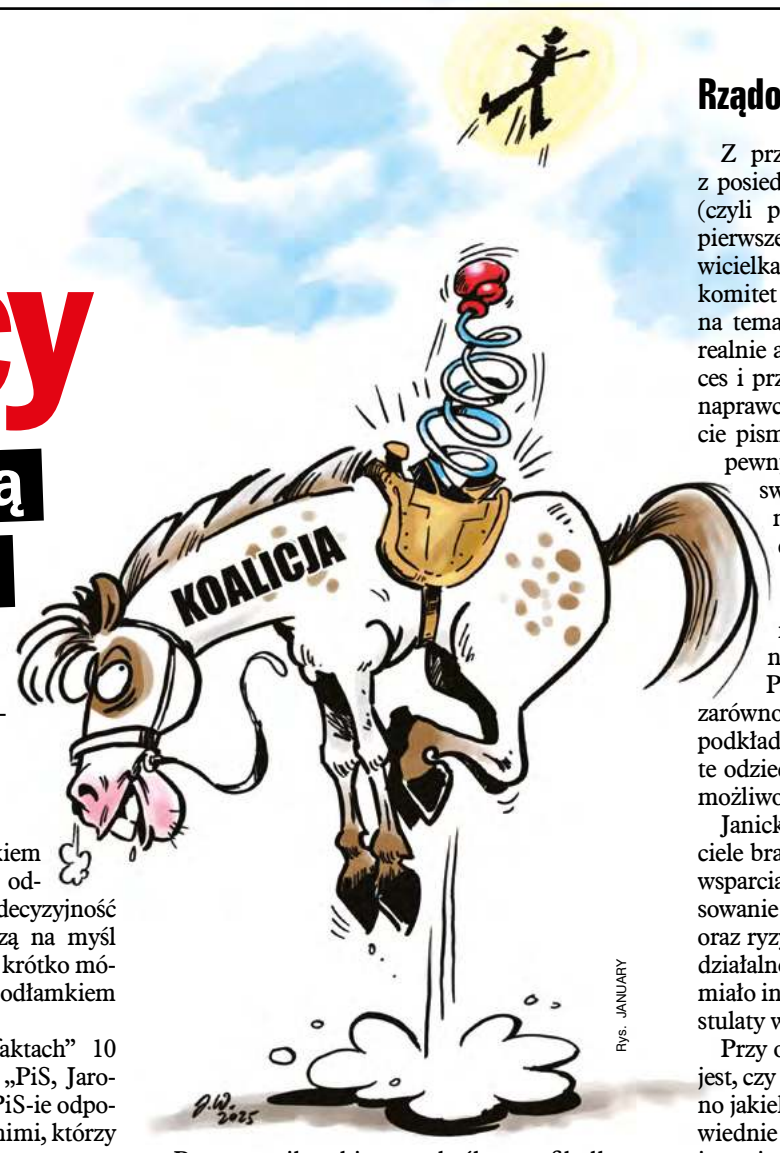

Rys. JANUARY

Bez wątpienia trzeba talentu, żeby wyhuśtać się na rozdawnictwie gigantycznych pieniędzy w ręce ludu, a przy okazji dostarczyć prawicy materiału na kręcenie politycznych lodów. „Afera jachtowa" z unijnymi funduszami HoReCa (skrót od: hotele, restauracje, catering) pokazała coś jeszcze: rząd Donalda Tuska nie tylko nie umie się sprzedać, ale przy okazji karmi kitem z procy opinię publiczną. A tak niewiele brakowało do szczęścia.

Płonie stodoła

Chciałoby się powiedzieć: „miałeś, chamie, złoty róg". Ekipa Tuska po wysadzeniu z siodła pisiego konsorcjum załatwiła dla kraju największy hajs w historii. Zamiast się tym chwalić do twardego rzygu w możliwie każdy komunikacyjnie sposób i zachęcić przedsiębiorczy zasób ludzki do wykorzystania funduszy, dysponent kasy z KPO jak chłopaki z bram szemranych dzielnic spuścił towar cichaczem. Jako że nabór wniosków szedł słabo, a czas naglił, rosło ryzyko, że kasę trzeba będzie zwrócić. Pożyczka to 60 proc. funduszy, reszta to bezzwrotna pomoc, mimo wszystko trochę szkoda puścić to kantem. Co więc zrobił rząd? Dawał każdemu, kto we wniosku poza podpisem umiał użyć we właściwym miejscu słów „innowacja", „dywersyfikacja" i „ekologia". Przynajmniej takie można odnieść wrażenie przy lekturze podań o unijne granty. Wyszło zatem tak, że ludzie Donka rozdawali tylko swoim i, co gorsza, na wyjęte z dupy inwestycje. Czy były tam wały? Naturalnie, że tak, ale przy okazji wylano najładniejsze dziecko z kąpielą.

Nieważne, że właściciel częstochowskiego klubu dla swingersów zgodnie z prawem kupił maszynę do obróbki metalurgicznej w ramach rozszerzenia działalności gospodarczej na okoliczność kryzysu, który zamknąłby możliwość zarobkowania na pierwotnym interesie. Naród wydał werdykt, że wszyscy przedsiębiorcy, którzy sięgnęli po dofinansowanie, to mendy (choć część osławionych wniosków nie została zatwierdzona), a prawica chce jechać w Polskę z objazdową wystawą „Kasa Platformy Obywatelskiej", żeby zohydzać Unię Europejską. Jeśli ktoś sądzi, że nie można wtopić bardziej, mam złe wiadomości.

Tandeta się nie mydli

Adam Szłapka nie jest złym rzecznikiem prasowym rządu. Jest dokładnym jego odzwierciedleniem. Problem w tym, że decyzyjność i styl panowania ekipy KO przywodzą na myśl opinie kojarzone z synonimem prącia – krótko mówiąc, nie najlepsze. Burdel z (póki co) odłamkiem KPO zdaje się to tylko potwierdzać.

W Tefałenowskich „Faktach po faktach" 10 sierpnia rzecznik Szłapka powiedział: „PiS, Jarosław Kaczyński i wszyscy ci, którzy w PiS-ie odpowiadali za rządzenie, powinni być ostatnimi, którzy mówią cokolwiek na ten temat, bo sam program HoReCa i to, jaki ma kształt, (…) został w 100 proc. przygotowany przez Grzegorza Budę". W tę narrację naturalnie poszła także reszta stada.

Otóż gówno prawda.

Faktem jest, że gabinet Mateusza Morawieckiego wpisał program wsparcia dla tej branży do Krajowego Planu Odbudowy. Zaplanowano wówczas przeprowadzenie konkursu na dotacje dla firm, które odnotowały spadek przychodów w związku z pandemią COVID-19. Zasady programu utrzymano w kolejnych rewizjach KPO, a jedyna korekta dotyczyła liczby beneficjentów programu, którą po pierwszej rewizji zmniejszono o połowę wobec wcześniejszych założeń. Co istotne, szczegółowe warunki udzielania grantów przedstawiono dopiero po zmianie ekipy rządzącej. Konkretnie w kwietniu 2024 r., kiedy Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości (PARP) ogłosiła nabór wniosków.

Na dokładkę, kiedy pierwszy nabór nie zassał, PARP przy drugim podejściu zliberalizowała wymagania dla firm. Wtedy m.in. umożliwiono składanie wniosków przedsiębiorcom, którzy prowadzą działalność w sektorze HoReCa jako działalność poboczną, a nie główną (według klasyfikacji PKD).

Pan rzecznik, robiąc tego koślawego fikołka, zapomniał (he, he) o jeszcze jednym drobnym szczególe. Istnieje bowiem takie gremium jak Komitet Monitorujący KPO. Tak się przyjemnie złożyło, że jedna z jego członkiń puściła nieco farby, jak to monitorowanie przebiegło i co z tego procesu wynikło.

Wspomniany Komitet (KM KPO) to organ z udziałem strony rządowej (ministra funduszy i polityki regionalnej w roli przewodniczącego oraz przedstawicieli pozostałych ministerstw), organizacji pozarządowych, samorządów, partnerów społecznych (związków zawodowych i pracodawców), który czuwa nad realizacją Krajowego Planu Odbudowy. Co istotne, rola komitetu w tym przypadku ogranicza się jedynie do monitorowania i opiniowania, czyli nie zatwierdza on kryteriów wyboru projektów.

Kiedy wybiło szambo HoReCa, Iwona Janicka, przewodnicząca Wielkopolskiej Rady Działalności Pożytku Publicznego, członkini Krajowej Rady Działalności Pożytku Publicznego i pozarządowa członkini KM dała głos, opisując w swoich social mediach, kiedy i jak się to wszystko pięknie rozjechało.

Rządowy otwór

Z przedstawionych przez Janicką protokołów z posiedzeń KM wynika, że w listopadzie 2024 r. (czyli pół roku po uruchomieniu przez PARP pierwszej tury naboru wniosków) jako przedstawicielka strony pozarządowej sygnalizowała, żeby komitet nie tylko zapoznawał się z informacjami na temat przebiegu realizacji przedsięwzięcia, ale realnie analizował sytuacje wpływające na ten proces i przyjmował rekomendacje dotyczące działań naprawczych. Jak można przeczytać we fragmencie pisma: „nie chodzi o stawanie w opozycji do pewnych propozycji, ale o możliwość wyrażania swoich opinii na ich temat, zasygnalizowania, że pewne rzeczy można zrobić inaczej, efektywniej, lub po prostu możliwości ich zaaprobowania". Ponadto zaproponowała, żeby prezentacje „pokazywały nie tylko odniesione sukcesy, ale odnotowane opóźnienia wraz z propozycją działań naprawczych". Podkreśliła też, że takie podejście dałoby zarówno resortowi, jak i całemu rządowi formalną podkładkę do reagowania na ryzyka i błędy, w tym te odziedziczone po poprzednikach. Niestety, z tej możliwości nie skorzystano.

Janicka zakomunikowała również, że przedstawiciele branży HoReCa zgłaszali uwagi do koncepcji wsparcia z funduszu KPO, wskazując na niedopasowanie części założeń, zbyt małą skalę pomocy oraz ryzyka związane z wymuszoną dywersyfikacją działalności. Co więcej, zasugerowali, by wsparcie miało inną formę. Niestety, rząd miał wszystkie postulaty w dupie.

Przy okazji wyszło na jaw, że niekonieczne jasne jest, czy ekspertom oceniającym projekty postawiono jakiekolwiek wymogi (lub wysłano ich na odpowiednie szkolenia) oraz czy istnieje jakiś ich rejestr i monitoring jakości ich pracy.

Słabiutko wyszło z tym zwalaniem na kaczystów.

Gwóźdź do PR-owej trumny KO przybił do niedawna wynoszony przez premiera Tuska na olimp chwały Rafał Brzoska. 8 sierpnia zawyrokował na platformie X:

„Żal, że tak ważny dla Polski i polskiej gospodarki i inwestycji program kończy w taki sposób – bo chyba nikt nie ma już wątpliwości, że to koniec".

Wpis polubiło 15 tys. osób – pięć razy tyle, ile skorzystało z programu HoReCa.

Zamiast sukcesu, na którym niejedna partia przejechałaby kilka kadencji z rzędu, jest kryzys, który może ten rząd zatopić.

IDALIA DUBICKA

O czym zapomniał Zachód?

Bajki dla myślących

Cena wolności

Człowiek to podobno istota myśląca. A jeśli już o czymś rzetelnie pomyśli, to znajduje w tym dobre i złe strony oraz argumenty za i przeciw. Jeśli skupi się bardziej niż zwykle, to potrafi odróżnić blagę od rzeczywistości oraz wyczuć nagminnie stosowane w praktyce kłamstwa, przemilczenia i uproszczenia. Umie odróżnić bajdurzenia od bajek, z których część niesie przecież głębokie poznanie i zrozumienie rzeczywistości. A na koniec, przykładając do faktów uznawane przez siebie wartości, potrafi dokonać właściwej oceny.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Opowiem zatem dziś bajkę, a Ty wyobraź sobie ogromny, bardzo biedny przed ponad pół wiekiem kraj, który dziś jest jednym z najbardziej rozwiniętych państw świata, o którego oszałamiających osiągnięciach technologicznych donoszą media i filmiki na YouTubie. Kraj liczący prawie 1,5 mld ludzi i 56 grup etnicznych. Kraj, który w ciągu 47 lat reform (od 1978 r.) dokonał bezprecedensowej transformacji całkiem niepodobnej do transformacji uosabianej przez Balcerowicza. Wyobraź sobie kraj, w którym – jak twierdzi Bank Światowy – 800 mln ludzi wyszło ze skrajnego ubóstwa, a dochód narodowy na głowę mieszkańca wzrósł niemal stukrotnie (ze 155 do 13 tys. dol.). Państwo, w którym działają system emerytalny i powszechna opieka medyczna, która po reformie z 2009 r. obejmuje 95 proc. obywateli, a przeciętna długość życia wynosi 78 lat – jakiż to skok, jeśli wiemy, że w 1949 r. wynosiła ona tylko 35 lat. Ten kraj to także masowa edukacja – 99 proc. dzieci kończy szkołę podstawową, a od 1999 r. 150 mln ludzi ukończyło edukację wyższą (program kuozhao). Prof. Jeffrey Sachs z Columbia University napisał: „Chiny dokonały największego cudu społecznego w historii świata". Chińczycy twierdzą, że to żaden cud. Ich zdaniem to efekt eksperymentu społecznego łączącego dalekowzroczność (planowanie pięcioletnie i wieloletnie), pragmatyzm (rynek plus interwencjonizm państwa) i priorytet stabilności społecznej (marksizm adaptowany do realiów).

Oto bajka o współczesnych Chinach. O Chinach, czyli o państwie socjalistycznym, w którym obowiązuje jednopartyjny system polityczny, a władzę sprawuje Komunistyczna Partia Chin. Faktem jest, że wolność polityczna w rozumieniu zachodnich demokracji tam nie istnieje, podobnie jak nie istnieje prawo do rozumianej po europejsku wolności słowa. W krajach Zachodu pisze się o represjach wobec chińskich opozycjonistów oraz ukazuje się wiele publikacji i opinii, krytycznych wobec systemu politycznego Chin. Chińskie media natomiast twierdzą, rewanżując się zachodnim krytykom, że to konieczność – że nie da się inaczej w warunkach tak wielkiego zróżnicowanego etnicznie narodu. Twierdzą też, że ta konieczność wynika z wybranej drogi do powszechnej „wolności od strachu przed głodem, chorobą, bezdomnością – to prawa człowieka, o których Zachód zapomniał".

Chińczycy, atakowani przez przedstawicieli Zachodu za brak demokracji, odpowiadają: „nasza demokracja to demokracja ludowa, która definiuje sukces społeczeństwa poprzez materialne korzyści dla mas, a nie procedury wyborcze".

Jak dla mnie, i pewnie także dla większości z nas, taka definicja sukcesu społeczeństwa to o wiele za mało. Pytanie, czy w warunkach Chin faktyczne ograniczenia wolności są (jak sami Chińczycy twierdzą), czy nie są koniecznością?

Jest też jeszcze ważniejsze pytanie: co Chińczycy zrobią w przyszłości ze swym materialnym sukcesem? Dokąd pójdą? Czy faktycznie weźmie górę ideowo-polityczny cel Komunistycznej Partii Chin: dobrobyt całego społeczeństwa, czy stoczą się tak, jak stoczył się Zachód w stronę drapieżnego, antyegalitarnego, neoliberalnego kapitalizmu? To pole do rozważań tak dla optymistów, jak i pesymistów.

A tymczasem Rosja napada na Ukrainę, Netanjahu morduje w Gazie, Trump się błaźni, Europa dyskutuje, a Chińczycy, jak w starej chińskiej przypowieści o małpie na drzewie i walczących tygrysach, czekają i spokojnie realizują uchwaloną na zjeździe KPCh kolejną pięciolatkę i trzydziestoletnią strategię.

Trochę danych dla nerdów:

Mieszkalnictwo: 90 proc. rodzin ma własne lokum – w USA: 65 proc.

Bezpieczeństwo: wskaźnik zabójstw: 0,5 na 100 tys. (USA: 6,3, Polska: 0,7).

Zielona rewolucja: mimo nadal największej na świecie emisji CO_2 Chiny inwestują 546 mld dol. rocznie w OZE (UE+USA: 300 mld dol.). Są liderem w pozyskiwaniu mocy z wiatru i słońca: 1,45 TW w 2024 r. Są też liderem w elektromobilności: 60 proc. światowej produkcji aut elektrycznych (BYD, Tesla i inne), a także w zakresie ultranieemisyjnych technologii węglowych – jak twierdzą Chińczycy: „realizm w okresie przejściowym".

Eksport: Chiny są największym eksporterem świata i liderem światowym w produkcji paneli słonecznych (70 proc. rynku).

Innowacje: zajmują drugie miejsce na świecie w liczbie patentów. W 2023 r. Chiny złożyły 1,58 mln wniosków patentowych – trzy razy więcej niż USA (dane Światowej Organizacji Własności Intelektualnej).

Inwestycje w naukę: nakłady na badania i rozwój to 2,5 proc. ogromnego PKB w 2023 r. (trzy razy więcej niż w roku 2000).

Inwestycje publiczne: koleje wielkich prędkości, technologia półprzewodników, elektromobilność, GSM 5G, system dróg i autostrad.

Sukcesy naukowe i techniczne oraz niewiarygodny postęp materialny Chin są faktem. W którą stronę rozwinie się specyficzny chiński model połączenia socjalizmu z kapitalizmem państwowo-prywatnym? Czy w stronę modelu prospołecznego czy odwrotnie: neoliberalnego? Czy Chińczycy oprócz dostatku będą w stanie zagwarantować sobie zestaw osobistych wolności? Fajnie mieć nadzieję, że KPCh właśnie o to chodzi. Ale przecież to tylko bajka.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Mamy rzecz najważniejszą

Związkowcom na 45-lecie porozumień sierpniowych

Gdyby związkowcy żyli ze składek, to może dbaliby o prawa pracownicze. Dziś są kupieni przez firmy, bo to one im płacą.

Średnie uzwiązkowienie w Unii Europejskiej to ok. 23 proc. W Finlandii wynosi aż 74 proc., co czyni ją liderem w tej dziedzinie. W nieunijnej Norwegii uzwiązkowienie osiąga 52 proc.

Francja znana jest z setek strajków i demonstracji związkowych, tymczasem tamtejsze uzwiązkowienie to ledwie 8 proc. W Niemczech, również znanych z głośnych akcji związków, wskaźnik wynosi około 20 proc.

W 1991 r. 19 proc. wszystkich pracujących Polaków przyznawało się do bycia związkowcem, w 2000 r. – już tylko 9 proc. Państwowej statystyce wyszło też, że w latach 2014–2022 liczba organizacji związkowych zmalała o 9,6 proc. Spadła też – o 6,5 proc. – liczba członków związków zawodowych. Summa summarum GUS wyliczył, że polskie uzwiązkowienie wyniosło niecałe 10 proc. W 2022 r. prawie 12 tys. związków zawodowych zrzeszało 1,4 mln osób. Na 15 mln pracujących.

Niepoliczalni

Co oczywiście jest nieprawdą, bo dane na temat realnego członkostwa są tajemnicą dostępną tylko ścisłemu szefostwu danego związku. W związku z czym o tym, ilu naprawdę mamy związkowców, nie wiedzą nawet związki zawodowe.

Kilka lat temu media doniosły, że w Jastrzębskiej Spółce Węglowej uzwiązkowienie wynosi 136,8 proc. W firmie zatrudnionych było bowiem 21 tys. osób, do związków zaś należało tam – według sprawozdań działaczy – 28 500 pracowników. Co dziwne nie było, bowiem w JSW działało wówczas 65 różnych organizacji związkowych. Internet wyjaśnił ten fenomen w bardzo prosty sposób – pensje działaczom związkowym, których jedynym zajęciem było byciem związkowcem, nie były płacone ze składek członkowskich, ale płacił je państwowy pracodawca. Zmuszony do płacenia pensji za związkową działalność przez ustawę o związkach zawodowych.

W gospodarce wolnorynkowej moda na przynależność do związku zawodowego jest odwrotnie proporcjonalna do cykli koniunkturalnych. Jak rynek pracy prosperuje i wszyscy szukają pracowników, to związki odnotowują gwałtowny ubytek w pogłowiu płacących składki. Jeśli zaś jest kryzys i każdy boi się o utratę miejsca pracy, to wtedy dochodzi do masowego wstępowania w szeregi.

W dzisiejszej Polsce bezrobocie niemal nie występuje, więc ludzie występują ze związków i, Boże broń, się do nich nie zapisują. Ostatnią rzeczą, na jaką większość z nas ma wszak ochotę, jest płacenie składek na związek.

A za przynależność płacić trzeba. Za członkostwo w pannie S 0,82 proc., a za bycie w ZNP już 1 proc. tego, co się dostaje na rękę. Jak się jest na emeryturze i ma fanaberię bycia – nie wiedzieć właściwie po co – związkowcem, to też trzeba płacić składkę. Niewielką, bo najczęściej 0,1 proc. emerytury – ale zawsze to parę złotych.

Oficjalne statystyki sprzed trzech lat mówiły o 1,4 mln związkowców. Nominalnych. Bo wystarczy kilku zaprzyjaźnionych działaczy, by dowiedzieć się, że składki tak naprawdę płaci niecałe 70 proc. do tego zobligowanych. Niepłacących nikt nie skreśla, bo wszyscy muszą się wykazywać statystykami przed związkową zwierzchnością.

W tym roku ostrożne szacunki mówią, że oficjalnie na stanie związków zawodowych jest niecałe 1,2 mln osób. Ilu jest naprawdę, nie da się stwierdzić. To, czego można się od przedstawicieli największych organizacji dowiedzieć, to fakt, że wszystkim spada mniej więcej proporcjonalnie. Z wyjątkiem Solidarności, której po wyborach z 2023 r. leci bardziej. Choć i to może być ściema, bo badania sondażowe dotyczące przynależności związkowej różnią się od siebie diametralnie.

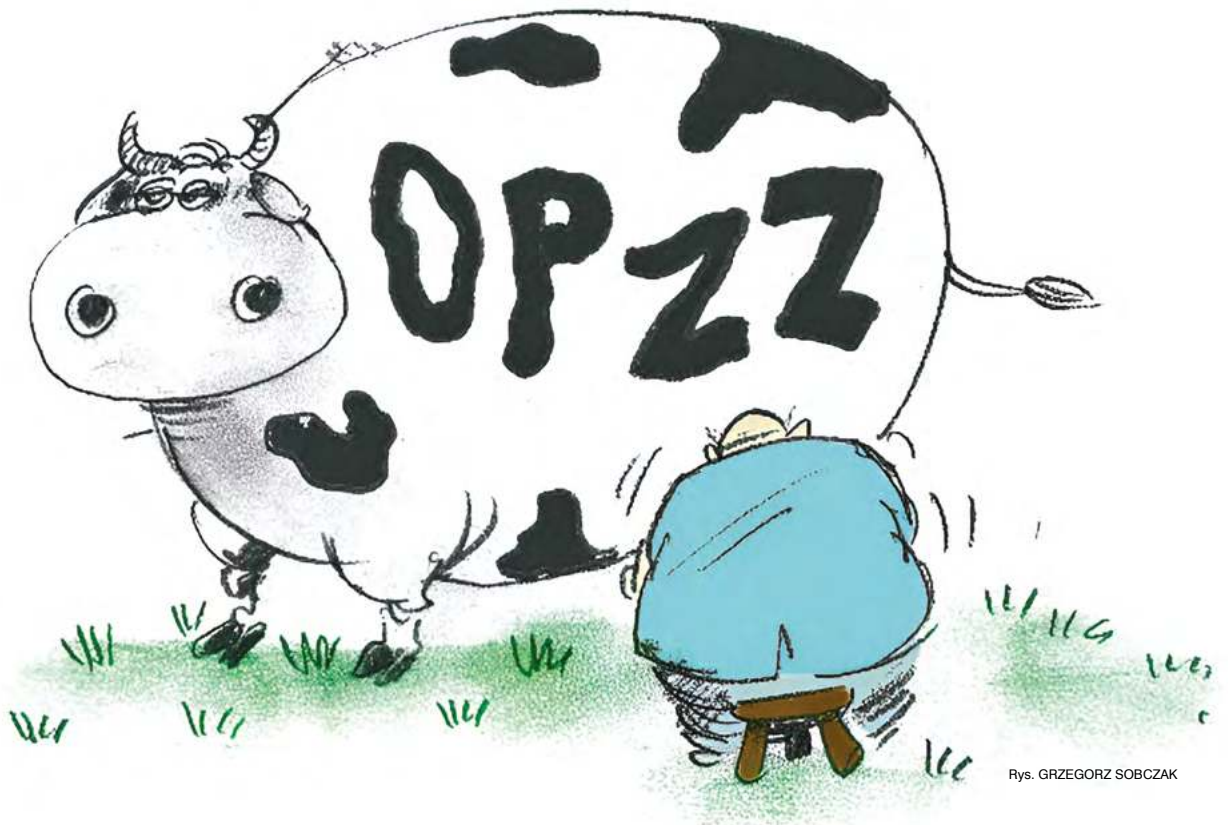

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Zwycięzcy

Za pierwszej Solidarności związek kierowany dziś przez Piotra Dudę liczyć miał 10 mln członków. Ostatnie w miarę wiarygodne dane dotyczą roku 2015, gdy do członkostwa w związku przyznawało się ponoć prawie 590 tys. ludzi. Dziś najlepsze dla Solidarności szacunki mówią o najwyżej 400 tys.

Lata symbiozy z PiS zrobiły swoje. Związek pod kierownictwem Dudy poza propagandowym udawaniem w czasie rządów Dobrej Zmiany nie robił praktycznie nic. Chyba że za robienie czegoś uznamy wielogodzinne przesiadywanie Dudy z Morawieckim kończone komunikatem, że rząd się zapoznał z problemami związkowców i coś z tym zrobi.

Piotrowi Dudzie nie pomogło też wykrzykiwanie na KOD za wieszanie koszulek z napisem „Konstytucja" ani nawet bycie złym na ministra zdrowia za to, że ten zamiast ze zrzeszającą promile personelu medycznego Solidarnością podpisuje porozumienie z nader reprezentatywnym związkiem pielęgniarek i położnych.

Szefowi Solidarności nie udało się nawet zrobić na Polakach wrażenia, że to jego związek wymusił przywrócenie poprzedniego wieku emerytalnego. Dla każdego było jasne, że to dzieło tylko i wyłącznie PiS.

Duda mógłby się, co prawda, chwalić bezhandlowymi niedzielami. Tyle że też nie bardzo. Badania opinii pokazały wtedy, że według Polaków za niedzielnym zamknięciem sklepów stał Kościół. Polacy nie uwierzyli widać w związkowe opowieści o członkiniach Solidarności sikających w niedzielę w pieluchy na kasach hipermarketów. Statystyka była bowiem dla Dudy nieubłagana. W handlu uzwiązkowienie wynosi 1,9 proc. I na dodatek rozkłada się na kilka związków.

Szef Solidarności takimi bzdurami jednak nie musiał się przejmować. Stali za nim ci, którzy stać powinni. Pracownicy największych zakładów w kraju. Znaczy w niemal 100 proc. firm państwowych. Po tym jak PiS robiło dobrze górnikom i pracownikom energetyki, Duda miał poparcie wystarczające na kolejne związkowe elekcje.

Mógł też, wraz z pozostałymi członkami władz NSZZ Solidarność, brać po kilkanaście tysięcy złotych z racji wynagrodzenia oraz członkowania radom nadzorczym związkowych spółek. Nie wspominając o wypasionym biurze oraz bryczce z kierowcą.

Propracownicze

Trzy lata temu GUS-owi wyszło, że pracowników zatrudnia jedynie 2 proc. związków zawodowych. Wychodziło zatem, że w kilkunastu tysiącach związków pracowało 2 tys ludzi. Jeden pracownik na sześć organizacji związkowych! To nie koniec cudów. Przychody 47,6 proc. związków zawodowych nie przekraczały 10 tys. zł rocznie! Jedynie 1 proc. organizacji związkowych miało więcej niż 500 tys. zł przychodu.

Wytłumaczenie tego też jest proste. Związkowców na etatach związkowych w firmach nie wynagradza związek. Prawo stanowi bowiem, że mają to robić pracodawcy. I robią. Spółki skarbu państwa przeznaczają na związkowców setki milionów złotych rocznie.

Jeszcze parę lat temu można się było dowiedzieć, że w KGHM zawodowych związkowców było około 40. W 2017 r. kosztowali kombinat ponad 10 mln zł rocznie. PGE wydawała na związki 18, a Tauron 15 mln zł rocznie. Dzięki czemu reprezentant energetycznych związkowców mógł liczyć na 9 tys. zł miesięcznie. Orlen i Lotos były oszczędniejsze – związkowcy kosztowali je łącznie jakieś 5 mln zł. Ale etatowy związkowiec co roku inkasował tam niemal 140 tys. zł.

PGNiG miał u siebie 40 związków zawodowych. Przeznaczał na nie 9 mln zł rocznie. Tylko na samo wynagrodzenie 11 zawodowych związkowców szło w koncernie gazowym 1,6 mln zł rocznie. Przeciętny zarobek lidera związkowego wynosił tam w 2017 r. 12 tys. zł miesięcznie. Ale byli i tacy, którzy dostawali po 17 tys.

W PKP do związków należało wówczas 60 tys. pracowników. Czyli 423 organizacje ze 186 etatami związkowymi. Oznaczało to, że za działalność związkową pasażerowie płacili rocznie 32 mln zł.

Ale już w takim PKO BP, gdzie nie było robotników, tylko białe kołnierzyki, do związków należało tylko 19 proc. pracowników. Etatowcami było siedem osób, a ich lokale, pensje i sprzęt kosztowały bank ledwie 700 tys. zł rocznie.

Dlaczego te wszystkie dane są sprzed lat? Dlatego otóż, że od tej pory przestano je upubliczniać, a nawet zliczać.

Za drugiej kadencji PiS kasa dla związkowców nieustająco rosła. Działacze mieli dbać o spokój w państwowych firmach i nie awanturować się. I dokładnie to robili. Nowa władza postanowiła ze związkowcami nie pogrywać, dlatego kasa dla nich płynie nieustająco.

A jej wysokość jest ukrywana równie skrzętnie jak za czasów PiS. Działa to na tyle szczelnie, że o wynagrodzeniach związkowców nie zająknął się żaden z działaczy przy redukcjach w PKP Cargo czy w Poczcie Polskiej.

Niezawodne

Skoro związki zawodowe kosztują spółki skarbu państwa 500 mln zł, to na co idą pieniądze ze składek? A tych – przy założeniu, że tylko milion związkowców płaci po 60 zł miesięcznie – powinno być ok. 720 mln zł. I gdyby nawet tę forsę podzielić między związki, jak chciałby GUS, to okaże się, że przychody organizacji pracowniczych są dwukrotnie wyższe od oficjalnych. Jest też i inna opcja: że po prostu związkowców jest o połowę mniej, niż deklarują działacze.

Lata temu, gdy szalał kryzys, a ludzi w przemyśle i górnictwie zwalniano masowo, przynależność do związków niewiele dawała. Główną rolą związków zawodowych było wówczas podpisywanie porozumień dotyczących zwolnień. Gdy popyt na pracę wzrósł, to nie związki zawodowe wywalczyły podwyżki, tylko pracodawcy musieli płacić więcej, jeśli chcieli mieć pracownika. To nie związki stały też za forsowaniem przez PiS podwyżek płacy minimalnej. Spowodował to z jednej strony tani populizm tej partii, a z drugiej – całkiem racjonalne wyliczenia liberalnych ekonomistów dowodzące, że to droga do wyjścia z pułapki niskich zarobków.

Po co zatem dziś są te największe związki zawodowe? Bo małe związki są po to, że jak ktoś sobie pogrywa z załogą, to nie Solidarność i OPZZ wkraczają do akcji, tylko pojawiają się małe prężne organizacje, które wiedzą dobrze, po co się narodziły.

Bo wielkie związki są oczywiście dla benefitów działaczy. Istnieją też z przyzwyczajenia części członków, których średni wiek przekracza już pięćdziesiątkę. Nawet do strajkowania jakoś polskie związki się nie garną, bo na tle reszty Europy w tej konkurencji wypadamy marnie. O próbie przeciwstawienia się postanowieniom władzy – jak w przypadku sporu ZNP z rządem o likwidację gimnazjów – nie ma nawet co wspominać, bo było to żenująco nieudolne.

Najśmieszniejsze jest zaś to, że największymi orędownikami związków są konserwatywni mieszkańcy małych miast, głosujący na PiS. I to pewnie tacy, którzy nigdy w życiu do związków, z powodu ich niewystępowania, nie należeli. Sondaże pokazują, że młodzież i ludzie o poglądach lewicowych i centrowych mają związki zawodowe gdzieś.

Pewnie dlatego, że gdy wchodzą na internetową stronę Związku Zawodowego Chemików w TC Dębica SA, to czytają, że najistotniejszą kwestią dla związkowców jest niespóźnienie się na wycieczkę do Grecji oraz to, żeby osoby startujące w zawodach wędkarskich o Puchar Związku miały przy sobie ważną i opłaconą kartę wędkarską.

Ale przecież, jak wykrzyczał 45 lat temu Wałęsa: „Mamy rzecz najważniejszą: nasze niezależne, samorządne związki zawodowe". No to mamy.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Trwa zamieszanie wokół tego, że prezydentowi Zełenskiemu podczas jego wizyty w Białym Domu towarzyszył każdy, tylko nie Polak – ani premier, ani prezydent. Nawrocki wyjaśnił swoją nieobecność naiwnie i jak zwykle antytuskowo i antyukraińsko: „Spotyka się format koalicji chętnych. W tej koalicji reprezentuje nas polski rząd i to pan prezydent Zełenski zapraszał tych liderów europejskich".

Niemądrą kropkę nad i postawił rzecznik Nawrockiego Rafał Leśkiewicz, mówiąc, że jego pryncypał „priorytetowo traktuje przygotowania do wizyty w USA trzeciego września", „podczas której sprawy bezpieczeństwa Polski i całego regionu, w tym sytuacji na i wokół Ukrainy, będą kluczowym punktem agendy rozmów".

Rzecznik Leśkiewicz może jeszcze tego nie wie, ale w polityce pomidory nie wykluczają ogórków. I odwrotnie.

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Macie w planach wakacyjną wycieczkę do lasu? Uważajcie, żebyście się nie zaplątali w gąszczu propagandy.

Zdrewniała instytucja i ogień pogardy

Jedną z kiełbas wyborczych, które miały pozbawić Zjednoczoną Prawicę władzy nad rządowym paśnikiem, było znalezienie nowej formuły funkcjonowania lasów w Polsce. Ta zaś miała zostać wypracowana ze stroną społeczną w trakcie zespołu działań, spotkań i konsultacji.

Ochłap politycznej woli rzucono nieprzypadkowo, bo według badań opinii publicznej wkurwionej okresem bezhołowia, kiedy Suwerenna Polska pod skrzydłami PiS łupiła Lasy Państwowe do imentu, reformy zarządzania publicznymi lasami na rzecz zwiększenia ochrony przyrody oczekiwało 82 proc. obywateli. Na zapowiedziach się skończyło. Lasy Państwowe zamiast dialogu wybrały przemoc.

Gdzie drwa rąbią

Zielone ludziki pod wodzą mianowanego przez premiera Donalda Tuska dyrektora generalnego Lasów Państwowych Witolda Kossa postanowiły poprawić swój wizerunek. Trudno się dziwić, półtora roku zarządzania drzewostanem przyniosło kilka dalekich od społecznych oczekiwań, by nie rzec spektakularnych, wpadek.

Przykładowo początkiem realizowania zapisu umowy koalicyjnej miało być moratorium dla lasów, czyli wyłączenie z wycinek najcenniejszych 20 proc. zasobów pozostających pod zarządem Lasów Państwowych. W styczniu ubiegłego roku w ramach tych założeń wyłączono z rżnięcia m.in. fragmenty Puszczy Świętokrzyskiej, Augustowskiej czy lasów uzdrowiskowych koło Iwonicza Zdroju; w sumie 1,3 proc. drzewostanu. Później nastąpił szereg narad i rozmów, z których gówno wynikło, bo nie powiększono tego obszaru ani o hektar. Co więcej, pod koniec lipca bieżącego roku wiceminister środowiska Mikołaj Dorożała ogłosił podczas komisji sejmowej redukcję zapowiadanych w moratorium wyłączeń o jedną czwartą. Jak na ironię dzień wcześniej Donald Tusk, mówiąc o rekonstrukcji rządu, zapewnił, że wszystkie cele, które zapowiedziano w umowie koalicyjnej w październiku 2023 r., będą realizowane w niezmienionej formie...

Nie szkodzi. Ministerstwo Klimatu i Środowiska wespół z podległymi mu Lasami Państwowymi wyszło z założenia, że tak jak garbatego naprostuje grób, tak szeroka kampania informacyjna ustawi do pionu niezadowolonych obywateli i przygotowało akcję wizerunkową instytucji pod hasłem „zwalczania dezinformacji".

„Dezinformacja to jedno z najpoważniejszych wyzwań dla współczesnej ochrony środowiska. Nieprawdziwe lub celowo zniekształcone informacje dotyczące klimatu, gospodarki leśnej czy odnawialnych źródeł energii utrudniają prowadzenie rzeczowej debaty publicznej, wpływają na postawy społeczne i mogą prowadzić do błędnych decyzji na poziomie lokalnym i ogólnokrajowym" – wyjaśniają łopatologicznie w swoich social mediach LP i dodają: „Jako Lasy Państwowe uważamy, że dostęp do sprawdzonych informacji jest fundamentem odpowiedzialnej rozmowy o przyrodzie i klimacie. Chcemy, aby uczestnicy debaty publicznej – niezależnie od poglądów – mieli możliwość opierania się na wiarygodnych danych i weryfikowanych faktach". Po czym zrobiły ze strony społecznej wiatrak w stylu internetowych filmów z żółtymi napisami, które przekonują, że miesiączkowanie pingwinów to żydowski spisek.

Tam rąbać będą

Kampania składa się z dwóch części: weryfikacji dziesięciu tez głównie dotyczących lasów – tych dokonuje współpracująca z LP organizacja Instytut Dyskursu i Dialogu; druga to podcast „W gąszczu informacji", w którym rzeczniczka prasowa LP Anna Choszcz-Sendrowska rozmawia z gośćmi (o ironio) o formach manipulacji. Na razie pojawiły się dwa blisko godzinne odcinki, ale od obydwu swędzą zęby i marszczy się dupa. O tym, w jakim kierunku zmierza akcja informacyjna, najlepiej świadczą słowa Filipa Gołębiewskiego z Instytutu Dyskursu i Dialogu, które można usłyszeć w pierwszym odcinku: „Dziennikarze działają przede wszystkim po to, żeby dobrze się klikał materiał, który tworzą. Żeby być zgodnym z linią redakcyjną medium, w którym pracują. Żeby swoje nazwisko wypromować. Wiele jest różnych motywacji, nie zawsze jest to motywacja polegająca na tym, że chcą jak najlepiej poinformować społeczeństwo". Oberwało się też NGO-som (organizacjom pozarządowym), które w opinii Gołębiewskiego „przesadnie podchodzą do zagadnień związanych z przyrodą, lasami, i ulegają pokusie prezentowania treści o charakterze dezinformacji", a ta – jak wyjaśnił gość podcastu – bierze się z potrzeby szukania źródeł finansowania, zaś emocjonalne komunikaty dobrze się sprzedają.

W drugim odcinku dr hab. Łukasz Szurmiński, medioznawca z Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego, publicysta, badacz teorii i praktyki propagandy opowiadał zaś, że punktem przełomowym dla dziennikarzy był Smoleńsk i to wszystko, co działo się po katastrofie prezydenckiego samolotu, bo wtedy zaczęła narastać plemienność w środowisku dziennikarskim. Jaki ewentualnie poza brzozą ma to związek z Lasami Państwowymi? Tylko taki, żeby zdyskredytować oponentów i zrobić z nich debili. Średnio to wyszło, jeśli weźmie się pod uwagę materiały weryfikacji części ze wspomnianych 10 tez i dialogu prowadzonego w social mediach przez LP z obywatelami.

Rys. TOMASZ WIATER

Idąc tym tokiem myślenia, można założyć, że jeśli leśnik zostanie zaatakowany przez wkurzonego grzybiarza i ten złamie mu nos, to grzybiarz nie uszkodził leśnika, a jedynie czasowo zmodyfikował wygląd jego twarzy.

Kij wam w dupę

Według zapewnień Lasów Państwowych fact-checkerzy Instytutu Dyskursu i Dialogu działają niezależnie, a wyniki ich prac mają zostać opublikowane bez względu na to, czy będą korzystne dla LP, czy nie. Dowcip polega na tym, że część przedstawionych tez sformułowano w taki sposób, że wynik ich weryfikacji można przewidzieć w ciemno. Ot, pierwszy z brzegu problem: „Mit: Pozyskanie drewna jest powodem powodzi" – głoszą „spece" z instytutu. Istotnie, przyczyną powodzi jest nadmiar wody, a nie pozyskiwanie drewna. Intensywny wyrąb drzew na stromych zboczach sprawia, że gleba jest mniej stabilna i gorzej przyswaja wodę. Bez drzew, a zatem i bez korzeni, w określonych okolicznościach może szybciej dochodzić do powodzi błyskawicznych. Na dokładkę wjazd ciężkich maszyn i pojazdów wymagających zagęszczenia sieci dróg i szlaków zrywkowych sprawia, że woda błyskawicznie spływa tymi drogami.

Drewno z Lasów Państwowych nie trafia też masowo do Chin, przekonują fact-checkerzy. Dzięki intensywnej pracy weryfikatorów możemy się dowiedzieć, że LP sprzedają drewno pośrednikom, a nie Chińczykom. A że Lasy Państwowe nie mają kontroli nad pośrednikami, to nie zajmują się eksportem, więc problem nie istnieje. Co prawda w analizie zauważono, że w 2025 r. zmieniły się przepisy i LP zyskały pewne możliwości kontroli nad pośrednikami, ale na dane za ten rok będzie trzeba poczekać. Jakiekolwiek by były, można się spodziewać, że zostaną przedstawione w odpowiednim świetle.

Kolejna sprawa to język. Według LP lasów w Polsce się nie wycina, a jedynie „czasowo pozbawia drzew teren leśny". Prowadzi się też „zrównoważoną gospodarkę leśną" poprzez rębnie – czyli „odnowienie drzewostanu" i „modyfikowanie czynników siedliskowych".

2 lipca na Facebooku Lasów Państwowych pojawił się post, który zdemaskował kolejny, tym razem oczywisty mit. „W sieci regularnie pojawia się fałszywa informacja, że wypalanie traw pomaga pozbyć się kleszczy" – piszą LP i wyjaśniają, że proceder nie eliminuje pajęczaków, ale powoduje śmierć owadów, ptaków, płazów i małych ssaków, niszcząc ekosystem. Na pytanie pod postem jednej z internautek, dlaczego Lasy Państwowe tak chętnie i masowo dokonują wycinek, a także rębni zupełnej na wielu hektarach lasów w szczycie sezonu lęgowego, pracownicy Witolda Kossa odpowiadają tak: „Pozyskanie drewna prowadzone jest przez cały rok, bo takie są wymagania przemysłu i konsumentów – czyli np. Twoje".

Nie potrzeba niezależnych weryfikatorów, żeby stwierdzić, że ze strony Lasów Państwowych żadnej woli do dialogu ze stroną społeczną nie ma. Mimo zmiany obozu rządzącego standardy poprzedniej władzy można uznać za solidnie zakorzenione.

IDALIA DUBICKA

REKLAMA

Trumpolandia

Łapanki ICE – służby odpowiedzialnej za „egzekwowanie przepisów imigracyjnych i celnych" – są nie tylko coraz bardziej brutalne, ale też groteskowe. Ostatnio przez amerykańskie media przetoczyła się historia Enrique – lodziarza od 20 lat mieszkającego w Los Angeles – po którym został tylko wózek z lodami, kiedy zamaskowani, acz nieumundurowani agenci porwali go z ulicy. Administracja Trumpa przekonuje, że 70 proc. imigrantów porwanych przez ICE to kryminaliści, reszta stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, tylko – jak ujął to „car graniczny" Tom Homan – „przyczaili się, aż przyjdzie pora czynić zło". Tymczasem z danych ICE wynika, że tylko 40 proc. zatrzymanych ma w swoim życiorysie jakikolwiek wyrok – np. za wykroczenia drogowe – a zaledwie 7 proc. popełniło przestępstwa z użyciem przemocy. Absurdalne działania ICE – decyzją Trumpa wspieranego przez pół tuzina innych służb, w tym inspektorat pocztowy – wynikają z faktu, iż, jak przyznał doradca Białego Domu Stephen Miller, „pod przywództwem prezydenta Trumpa zamierzamy wyznaczyć cel co najmniej 3 tys. aresztowań każdego dnia". Skąd my to znamy? Jak za sanacji nauczał Franc Fiszer: – Nie będzie w Polsce dobrze, jak się nie rozstrzela 100 tys. szubrawców. – A jak się tylu nie znajdzie? – To się dobierze z uczciwych…

Do ICE także dobierają. Ostatnio w jego szeregi wstąpił niejaki Dean Cain – 59-letni aktor znany głównie z roli Supermana w serialu telewizyjnym „Lois i Clark: Nowe przygody Supermana" z lat 90. Serial został szczęśliwie zapomniany i Cain też, ale ostatnio przypomniał o sobie informacją, iż został zaprzysiężony jako agent służb imigracyjnych, bo „Ameryka jest krajem, który został zbudowany na patriotach, którzy wkraczają do akcji, niezależnie od tego, czy jest to popularne, czy nie". I szybko dodał, że „kocha prezydenta Trumpa", który jest „jednym z najbardziej empatycznych, wspaniałych i hojnych ludzi, jakich można spotkać".

Szczególną empatię Donald Trump wykazuje wobec dupy nieżyjącego pedofila Jeffreya Epsteina, Ghislaine Maxwell. „Lista Epsteina" – mająca jakoby zawierać nazwiska facetów, którzy korzystali z jego gościnności, wyrażającej się w dostępie do nieletnich dziewczyn – jest utrapieniem Trumpa, który przez lata przyjaźnił się z Epsteinem, Maxwell zaś, odsiadująca 20 lat za współudział w organizacji pedofilskiego kręgu, ma być kluczowym świadkiem w tej sprawie. W lipcu Maxwell odwiedził w więzieniu zastępca prokuratora generalnego Todd Blanche i chwilę później została ona przeniesiona z ciężkiego pierdla na Florydzie do obozu karnego w Bryan w Teksasie. Wygląda on jak obóz wakacyjny: nie ma krat ani cel, tylko dormitoria, a osadzone mogą spędzać na dworze czas od szóstej rano do dziewiątej wieczorem, zajmując się tak reedukacyjnymi zajęciami jak joga i pilates.

Innym beneficjentem empatii Donalda Trumpa jest Elon Musk. Jak ujawnił „New York Times", SpaceX – ta firma od wysyłania w kosmos gigantycznych penisów – w ogóle nie płaci podatków, co nie przeszkadza jej żyć z pieniędzy podatników. W 2020 r. SpaceX zarobił na państwie 1,4 mld dol. – 84 proc. swego przychodu. W 2021 – 1,7 mld dol., czyli 76 proc. przychodu. Ile Elon wydoi z budżetu w tym roku, nie wiadomo, ale generalnie planuje przytulić 15 dużych baniek. Przysługuje mu jednak „przeniesienie straty operacyjnej netto" – możliwość odliczania strat z dawnych lat od przyszłych dochodów. Ten przywilej ma zachęcić start-upy do kontynuowania działalności, mimo początkowych kłopotów. SpaceX działa od 23 lat i jest wart 350 mld dol., ale w 2017 r. Trump podpisał ustawę znoszącą termin wygaśnięcia tego przywileju podatkowego. „Jest bardziej prawdopodobne niż nie, że część lub całość aktywów z tytułu odroczonego podatku dochodowego nie zostanie zrealizowana" – informuje SpaceX w liście do inwestorów. Czytaj: nie zapłacimy podatku. Nigdy.

Z ciekawostek: norweski portal Dagens Næringsliv donosi: „Minister finansów Jens Stoltenberg szedł sobie ulicą w Oslo, kiedy ni stąd, ni zowąd zadzwonił do niego Donald Trump... Chciał nagrody Nobla – i omówienia taryf celnych". W oświadczeniu dla Reutersa Stoltenberg powiedział, że rozmowa koncentrowała się na taryfach celnych i współpracy gospodarczej przed rozmową Trumpa z Jonasem Støre, premierem Norwegii. „Nie będę wchodził w dalsze szczegóły dotyczące treści rozmowy" – dodał dyplomatycznie były sekretarz generalny NATO.

AWŁ

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Bibi Moja walka

Największą kampanią antysemityzmu kieruje rząd Izraela

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z okazji długiego weekendu obejrzałam hit tegorocznego festiwalu filmowego Millenium Docs Against Gravity – dokument „Akta Bibiego" w reżyserii Alexis Bloom, wyprodukowany przez wyjadacza non fiction Alexa Gibneya, traktujący o wszystkich grzechach Binjamina Netanjahu, które doprowadziły do trwającego w Strefie Gazy piekła. Przyznam, że drobinę się wynudziłam i odniosłam wrażenie, że twórcy dokumentu migają się od osądzenia syjonistycznego etnonacjonalizmu jako takiego, ale mimo to każdemu polecę ten materiał. Powodów ku temu jest aż nadto.

Akurat ciekawie się złożyło, bo kilka dni przed moim seansem gruchnęła wiadomość, że rząd Bibiego zagłosował za odwołaniem prokurator generalnej Izraela Gali Bahrav-Miary. Trudno się dziwić. Pani prokurator ostro krytykowała reformy sądownictwa forsowane przez rząd Netanjahu w 2023 r. i z godnym pozazdroszczenia uporem kontynuuje nadzór nad trwającymi procesami karnymi przeciwko premierowi Izraela, które rozpoczęły się przed jej kadencją.

Warto pamiętać, że w Izraelu nie ma konstytucji. Źródłem prawa są tzw. ustawy zasadnicze, które mimo wyższości nad pozostałymi ustawami, uchwalane są zwykłą większością głosów. Koalicja rządząca (aktualnie najbardziej religijny, prawicowy i nacjonalistyczny gabinet w historii kraju) dzierży więc ogromną władzę, dla której jedyną przeciwwagę stanowi system sądownictwa. Dodatkowo Sąd Najwyższy ma prawo interpretowania ustaw zasadniczych i rozstrzygania, czy ustawy zwykłe są „konstytucyjne", czy nie. Ma prawo odrzucania ustaw przyjętych przez parlament. Krótko mówiąc, SN jest jedynym ograniczeniem dla władzy politycznej większości. Ten właśnie Sąd Najwyższy wstrzymał (póki co, sprawa ma wrócić we wrześniu) decyzję rządu Netanjahu o usunięciu Bahray-Miary ze stołka prokuratora generalnego.

Gdyby projekt reformy sądownictwa Bibiego wszedł w życie, Kneset (parlament Izraela) mógłby uwalić decyzję SN i premier pozbyłby się strupa z dupy. Między innymi o tym jest dokument „Akta Bibiego". Co gorsza, kolejne jego fragmenty – film miał premierę w 2024 r. – wyglądają jak samospełniająca się przepowiednia.

Punktem wyjścia do ujawnienia wachlarza pomniejszych i marszczących dupę przewin urzędującego premiera Izraela i jego rodziny są upublicznione nagrania z przesłuchań poprzedzających postawienie Bibiego w stan oskarżenia w 2019 r. na okoliczność mnogich dowodów świadczących o korupcji.

To właśnie ta nudna część filmu. Z punktu widzenia obserwatora polskiej sceny politycznej kłótnie Netanjahu i jego demonicznej małżonki Sary ze śledczymi o wagony drobnych prezentów od wpływowych przyjaciół – od cygar przez szampany (20 flaszek tygodniowo, pani domu lubi bąbelki) po błyskotki od Tiffany'ego – wydają się kuriozalne. Małżonkowie lubią życie w luksusie, wedle doniesień ich byłych współpracowników szczególnego apetytu na życie nabierają każdorazowo po wizycie u prezydenta Trumpa i jego uroczej małżonki.

Dowcip polega na tym, że w Izraelu naprawdę można iść za to siedzieć. Robi się wesoło, kiedy syn premiera Yari Netanjahu porównuje policjantów do funkcjonariuszy Stasi. Nawiasem mówiąc, kilka dni temu Yari napisał w serwisie X, że rolę współczesnej III Reszy odgrywa Katar i każdy Żyd na świecie jest zagrożony przez jego działanie. Wątek Kataru też przewija się w dokumencie, ale o tym za chwilę.

Trzeba przyznać, że Bloom mozolnie, ale potrafi rozkręcić imprezę. W „Aktach Bibiego" – poza wspomnianymi materiałami z przesłuchań wypowiadają się osoby z bliskiego otoczenia premiera: m.in. Nir Hafetz, doradca Netanjahu (kluczowy świadek w sprawie o korupcję); przyjaciel z dzieciństwa Bibiego Uzi Beller oraz Hadas Klein, prawa ręka Arnona Milchana. Gdyby ktoś nie skojarzył, Milchan to izraelski biznesmen i hollywoodzki producent filmowy (nominowany do Oscara chociażby za „Tajemnice Los Angeles" z 1997 r.). Autorzy filmu o Bibim przypominają, że Milchan był powiązany z izraelskimi tajnymi operacjami i miał bliskie kontakty z osobami zaangażowanymi w program atomowy. Dzięki wazelinie i hojnym prezentom kolega Binjamin szczodrobliwie sypał Milchanowi upustami podatkowymi. Miał gest, bo majątek filmowca szacuje się na 4,1 mld dol.

W materiale pojawia się też wątek domniemanych korzyści dla Shaula Elovitcha, właściciela firmy telekomunikacyjnej Bezeq, w zamian za wylizujące do połysku rowy Bibiego i jego bliskich relacje w najstarszym izraelskim portalu informacyjnym Walla. Wielomilionowych korzyści oczywiście.

Ile to wszystko ma wspólnego z Palestyną? To proste. Netanjahu jest uzależniony od władzy i nie cofnie się przed niczym, żeby jej nie stracić. Dosłownie przed niczym.

Po skandalu korupcyjnym odwróciły się od niego wszystkie partie centrolewicowe. Chcąc utrzymać dupę w siodle, wszedł w komitywę z ekstremistami z Religijnego Syjonizmu, z którymi do tamtego momentu – powiedzmy – nie łączyły go zbyt ciepłe relacje. Na przykład ministrem bezpieczeństwa narodowego w rządzie Bibiego został Itamar Ben-Gwir, ponad pięćdziesięciokrotnie (!) oskarżany o podżeganie do przemocy lub stosowanie mowy nienawiści, skazany za wspieranie terroryzmu.

W latach 90. Ben-Gwir opowiadał się za odstrzeleniem premiera Icchaka Rabina, który dążył do zawarcia pokoju z Palestyną. W filmie minister opowiadający się za likwidacją, żeby nie powiedzieć ostatecznym rozwiązaniem, Autonomii Palestyńskiej, pytany o to, co się stanie z 3 mln Palestyńczyków, mówi: „W Europie jest wiele krajów, które potrzebują rąk do pracy".

Istotnie, Netanjahu kilkukrotnie publicznie oznajmiał, że Izrael prowadzi rozmowy z kilkoma krajami na temat możliwości osiedlenia się na nowym miejscu przez Palestyńczyków. W świetle prawa międzynarodowego wysiedlenia ludności są zbrodnią wojenną, ale patrząc na to, co odtańcowują Kneset i jego król, wydaje się to niuansem. Wedle najświeższych doniesień agencji Reuters aktualnie Izrael kręci deal z Sudanem Południowym na temat przesiedlenia do tego kraju obywateli Palestyny ze Strefy Gazy. Oczywiście to gra na zwłokę, która na chwilę podburzy opinię publiczną i nieco wygładzi obraz zbrodniarza wojennego, który bezsprzecznie dąży do eksterminacji Palestyny ze wszystkimi jej konsekwencjami.

Twórcy filmu wspominają, jak w maju 2024 r. media ujawniły, że Netanjahu prosił Katar o wsparcie dla Hamasu. Chodziło o wpłatę 30 mln dol. miesięcznie. Ponieważ żaden izraelski bank ani inna instytucja nie mogły strzelić przelewu, „dotacje" miały być dostarczane w papierowej walucie, w walizkach. Katarczycy nie byli bici w ciemię i zażądali listownego poświadczenia zlecenia – tak na wszelki wypadek, gdyby Bibi chciał się tego kiedyś wyprzeć. Nie dziwota, że Yari Netanjahu wyzywa ich od nazistów.

W dokumencie pada sugestia, że Hamas pełni rolę strategicznego przyjaciela premiera Izraela. Utrzymanie Gazy pod kontrolą Hamasu uniemożliwia zjednoczenie się Palestyny. Wojna jest po prostu kolejnym narzędziem do utrzymania władzy.

Po ataku Hamasu 7 października 2023 r., w którym zginęło 1175 osób (w tym 700 izraelskich obywateli), ludzie potrzebują silnego przywódcy. Bibi odpowiada na ich potrzeby. W każdy możliwy sposób.

IDALIA DUBICKA

Film można obejrzeć na stronie internetowej Millenium Docs Against Gravity.

Kiedyś wszyscy będą uważać, że zawsze byli przeciwko

Człowieczeństwo bez zasięgów

Czekam na dzień, kiedy o milczeniu wobec ludobójstwa w Gazie będziemy mówić tak samo potępiającym tonem jak o milczeniu wobec Holocaustu 80 lat temu. Istnieją jednak poważne przesłanki, by w taki scenariusz wątpić z uwagi na to, że ofiary są niebiałe, a to dla Zachodu zawsze z jakiegoś powodu zmienia postać rzeczy. Niemniej jednak najbardziej obawiam się, że nawet jeśli w końcu potępimy Izrael, tak samo jak potępialiśmy Trzecią Rzeszę, a Bibiego czeka coś na kształt Norymbergi, to dalej niczego nas to nie nauczy. 80 lat temu ludzkość mogła się jeszcze wybronić skromnym dostępem do informacji, niekompletnymi wiadomościami głównie o charakterze pogłoskowym czy trudnością ze zdobyciem niezbitych dowodów. Teraz argument tego typu odpada, bo dostęp do informacji i możliwości dzielenia się nimi są lepsze niż kiedykolwiek, a i tak zawiedliśmy Palestyńczyków na całej linii.

To, że należy potępiać polityków i firmy, które zarabiają na tej tragedii, jest bardziej niż oczywiste. Mnóstwo korporacji nabiło sobie kabzę niewyobrażalnymi ilościami pieniędzy pokrytych palestyńską krwią i absolutnie nie mówię tu tylko o producentach broni, ale „sympatycznych" firmach takich jak Puma, SuperPharm czy McDonald's.

Ludobójstwo w Strefie Gazy już dawno wykroczyło poza skalę, za którą można by obwiniać wyłącznie polityków i korporacje. Dziennikarze mediów głównego nurtu intencjonalnie wręcz omijali temat, a jeśli już go podejmowali, neutralizowali język do granic możliwości (i poza granicami przyzwoitości), aby nie wskazać palcem winnego. Nie używali słów takich jak „ludobójstwo", „klęska humanitarna" czy „celowo wywołany głód". Nikt nie zająknął się o dziesiątkach tysięcy martwych dzieci, o ludziach płonących żywcem w szpitalnych łóżkach, dzieciach przekopujących się przez zgliszcza w celu wydobycia ciał swoich rodziców czy rodzeństwa. Przez długi czas krytyka nie dotykała też celebrytów, którzy mimo ogromnych zasięgów i uznania głównie wśród młodych ludzi nie wykorzystali owych zasobów, żeby zaprotestować przeciwko temu szaleństwu (oczywiście są wyjątki i na ich temat wcześniej pisałam, jednak w dalszym ciągu są to wyjątki od reguły).

Wielu z nich budzi się dopiero teraz, kiedy nacisk ze strony wściekłych fanów staje się zbyt duży do stłumienia – w ten sposób po prawie dwóch latach obudził się zespół, którego frontman wyrobił sobie niejako markę osobistą na filantropii i akcjach charytatywnych, czyli U2. Nie ma absolutnie żadnego sensu analizowania jego posta, bo w większości jest to rozwodniony, centrystyczny bełkot pełen ogólników i wyświechtanych frazesów.

Jeszcze inni mają problem z zachowaniem podstawowej integralności swoich poglądów, kiedy tylko ktoś pomacha im przed twarzą plikiem banknotów. Brytyjski raper Stormzy jeszcze w październiku 2023 r. deklarował swoje bezwarunkowe wsparcie dla Palestyńczyków na profilach w social mediach. W 2025 r. post zniknął po tym, jak Stormzy nawiązał współpracę z McDonald's – korporacją, która rozdawała izraelskiej armii darmowe posiłki i z tego też powodu od dawna figurowała na listach bojkotowych. I tu przechodzimy do głównego powodu, dla którego tylu artystów, celebrytów, milczy na temat bestialstwa Izraela – tego typu treści nie są komfortowe dla firm, które na danych profilach pragną się reklamować, bo w końcu lwia część biznesów traktujących influencerów jak słupy reklamowe to marki amerykańskie.

W obliczu tego całego cyrku ciśnie mi się na usta jedno pytanie: ile wy, kurwa, pieniędzy potrzebujecie, żeby się nie dać kupić? Jak bardzo musicie mieć napchane portfele, ile luksusowych domów, ile Rolexów i torebek Birkin w szafie, żebyście byli w stanie zachować człowieczeństwo?

A może od pewnego stopnia chciwość znieczula wszelkie ludzkie odruchy? Brzmi to zapewne rozpaczliwie, ale jest to coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć ani jako dziennikarz, ani jako człowiek. I naprawdę gówno mnie obchodzi to, że wrzucenie choćby podstawowych informacji na temat sytuacji w Gazie kosztowałoby jakąś już obrzydliwie bogatą celebrytkę kilka współprac.

Z ogromnymi zasięgami wiąże się ogromna odpowiedzialność, a sławni tego świata pragną cieszyć się przywilejami wynikającymi z dużych zasięgów, ale do lamusa odesłać wszystkie wynikające z tego obowiązki czy też podstawowy rozum i godność człowieka. Wiem, że naiwnością z mojej strony byłoby wymaganie od celebrytów jakiejś wyjątkowej moralności i wrażliwości społecznej, ale jeżeli to, co od dwóch lat dzieje się w Gazie, nie stanowi ekstremum, to nie chcę wiedzieć, jakiej skali gehenna musiałaby nastąpić, abyśmy uznali reakcję ze strony ludzi o milionowych zasięgach za ich obowiązek. Dawno już przekroczyliśmy moment, kiedy wypada mówić o konflikcie czy nawet wojnie. Naród palestyński jest celowo unicestwiany całym szeregiem metod, i to od ponad 70 lat – w ciągu ostatnich dwóch lat proceder ten po prostu niewyobrażalnie przybrał na sile i myślę, że nawet osoby interesujące się sytuacją w Strefie Gazy (w tym niżej podpisana) jeszcze pięć lat temu nie pomyślałyby, że bestialstwo Netanjahu może przybrać taką skalę.

Milczenie i bierność też mogą być zbrodnią – byłam pewna, że historia nas już tego nauczyła. Niestety, jak się okazuje, znowu spaliśmy na lekcjach albo wagarowaliśmy. Śpimy dalej. Kibice Hajfy przyjeżdżają na mecz z Rakowem Częstochową i za pomocą napisu na banerze wyzywają nas od morderców. Pomijając całą przewrotną groteskowość tej sytuacji – pozwalamy na to. Pozwoli na to minister Sikorski, pozwoli na to polska dyplomacja, bo choćby lekkie strzelenie Izraela po łapkach – nawet abstrahując od Gazy – będzie po pierwsze, sprzeciwieniem się hegemonii USA, a po drugie, automatycznie zostanie uznane za antysemickie. No cóż, „ludzie raczej słabi są, ja to słabo znoszę".

ANTONINA STEFFEN

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Szpilka w d..., czyli wziernik w splot

Transkobieta z pejczem między Czarnkiem a Giertychem

Podobno, jak pani nie chce wypuścić pana, to pan powinien ukłuć ją szpilką w siedzenie. Nie wiem, nie miałem okazji sprawdzić, lecz z pewnością można by się w tej sprawie poinformować u kompetentnego seksuologa, pana doktora Jana Wawrzyńca Szpilki z Uniwersytetu SWPS w Warszawie. Imię tego uczonego rozsławili niedawno pokłóceni ze sobą kościelni politycy, porozstawiani w dwóch zwalczających się partiach, a mianowicie Roman Giertych i Przemysław Czarnek.

Giertych wyśmiewał się z Czarnka, że ten w 2023 r., gdy był ministrem nauki, nie przypilnował sobie czegoś, a skutkiem tego czegoś wspomniany dr Szpilka, spec od tego, co i owszem, dostał 747 tys. zł na badanie naukowe nad nurtującą nas wszystkich po nocach kwestią, jak się transkobiety jarają za pomocą pejczyków, kolczatek i innych zabaweczek. Czarnek się tłumaczył, że on na decyzję Narodowego Centrum Nauki wpływu nie miał. Jak było, tak było, lecz co do meritum – a mianowicie, że na zboków i ich badanie kasy dawać nie wolno – między kolegami jest pełna zgoda. Zapewne jednak pan Czarnek wzmógł się bardziej, albowiem wysmażył do NCN pismo, w którym sprzeciwia się „absurdalnym rozstrzygnięciom" konkursów grantowych. Ale czy naprawdę projekt Szpilki był absurdalny?

Ha! Okazuje się, że był i jest dość konserwatywny i pod prąd ortodoksyjnemu feminizmowi idący. Sprawdziłem, o co chodzi, i ustaliłem, że ten Szpilka to wbija – za rządową kasę – szpilkę radykalnym feministkom. Jak pisze w swoim wniosku, „jednym z najważniejszych przekształceń w dwudziestowiecznej humanistyce było oddzielenie badań nad płcią od badań nad seksualnością". Czytaj: dla wzmocnienia moralnego i politycznego osób transpłciowych bądź niebinarnych przyjęto dogmat, że ich identyfikacja płciowa nie ma związku z ukierunkowaniem ich pożądania seksualnego. Albowiem można pożądać dowolnej osoby bez względu na swoją i jej płeć. Chodzi o to, żeby ludzie nie myśleli, że gdy ktoś dokonuje tranzycji, to widzi w tym źródło przyjemności seksualnej bądź warunek dobrego seksu w przyszłości. Słowem, że ma motywację seksualną, tak jak fetyszysta transwestytyczny. Dr Szpilka słusznie zamierza ten dogmat zwalczać. Jest bowiem oczywiste, że jak ktoś nie identyfikuje się, dajmy na to, z płcią męską oznaczoną przy urodzeniu, to w procesie uświadamiania sobie swojej kobiecości ma wielkie znaczenie to, czy pożąda mężczyzn, czy kobiet. Po prostu znacznie łatwiej jest odkryć w sobie heteroseksualną kobietę zamkniętą w ciele mężczyzny niż lesbijkę o biologicznych cechach mężczyzny. Facet pożądający kobiet, lecz czujący się w środku kobietą, ma z pewnością nieco pod górkę z podjęciem decyzji o tranzycji, nawet jeśli jego płeć psychiczna jest żeńska w sposób silny i jednoznaczny. A co do BDSM, to sprawa jest i ciekawa, i śliska, albowiem osoba po tranzycji zawsze jest w jakimś stopniu straumatyzowana i odgrywanie przemocy może być dla niej pociągającą i pomocną formą odreagowania. Niezgodność płci oznaczonej przy urodzeniu z odczuwaną oznacza wieloletni stres, a proces tranzycji jest (a już w Polsce zwłaszcza) koszmarem zarówno psychicznym, jak i fizycznym. I jak tu nie chwycić za pejcz?!

Rys. WIDGET

Temat „BDSM u transkobiet" to najnormalniejsze w świecie zagadnienie dla seksuologii kulturowej. Jest natomiast czymś niepojętym i niebywałym, że w XXI w. są jeszcze tacy akademicy (a Czarnek jest doktorem habilitowanym!), którzy naprawdę myślą, że są w nauce tematy tabu albo że podejmowanie takich czy innych zagadnień samo w sobie oznacza deklarację obyczajowo-ideologiczną bądź nie licuje z powagą uczonego. To naprawdę niesamowite, że można być tak ciemnym albo tak zawziętym. Takie rzeczy to chyba tylko na KUL. Na szczęście reputację szacownej uczelni katolickiej ratuje znany nam wszystkim i lubiany niewątpliwie przez samego siebie prof. Jan Hartman, który również ma zaszczyt być jej absolwentem. Nie same Czarnki o KUL-u stanowią!

Ważniejszy jednakże w projekcie Szpilki jest ów jego aspekt rebeliancki. Majstrowanie przy dogmatach jest zawsze bardzo ryzykowne, zwłaszcza gdy jest się osobnikiem z męskim oznaczeniem płci piszącym o feminizmie. W Szwecji dr Szpilka pewnie nie dostałby takiego grantu. W konserwatywnej Polsce jest to możliwe i bardzo dobrze! Nie znaczy to, że wszystko tu jest całkiem poważne. Program badawczy nosi tytuł „Transkobiecość i sadomasochizm/BDSM. Związki i napięcia w polu produkcji płci" i „jest poświęcony próbie uzupełnienia intelektualnych braków. Wychodząc od braku namysłu nad seksualnością transkobiet w studiach trans i brakiem analiz upłciowionego doświadczenia seksualności w studiach nad BDSM, stawia on sobie za cel analizę zjawiska transkobiecego sadomasochizmu/BDSM w historii i kulturze jako wziernika w nierozwiązywalny splot seksualności i płci". Jak ktoś tak słabo wyraża się po polsku, a za to tak gładko łyka potworki językowe skopiowane z angielskiego, jak „produkcja płci", to zapewne nie jest jeszcze zaawansowanym myślicielem. Raczej czeladnikiem.

Wystarczyłoby mu dać 7 tys. zł zamiast 747 tys. Pogadałby sobie z kilkoma wyzwolonymi niewątpliwie paniami, napisałby artykuł, dał do przetłumaczenia na angielski i opublikował w jakichś „Annales BDSM Australiensis" i szafa by grała jak z nut. A my mielibyśmy 740 tysi w kabzie.

Cała sprawa z Giertychem, Czarnkiem i Szpilką w rolach głównych jest może błaha, może i nieco komiczna, lecz w jej tle czają się demony. Narodowe Centrum Nauki to instytucja, która w sposób niezależny od rządu rozdysponowuje środki na badania naukowe. Kieruje się interesem nauki, opiniami ekspertów i do jakiegoś stopnia potrzebami państwa. Ładny to jest miks wartości, lecz ich sprawcza siła jest niewielka. Każda instytucja zajmująca się redystrybucją środków publicznych zależna jest od poglądów i uprzedzeń decydentów, którzy te poglądy i uprzedzenia mają zawsze i nie pomoże na to nawet procedura losowania recenzentów ani przepisy uniemożliwiające wywieranie przez polityków wpływu na eksperckie decyzje. Niezależność nauki od polityków jest konieczna, lecz niczego nie załatwia. A i rację mają różne Czarnki z prawej i lewej, że bzdur w nauce jest po kokardę. Albowiem to ludzie „produkują naukę", a ludzie, jak wiadomo, są różni. W takiej na przykład Polsce można dostać niezłą sumkę na teologiczne „studia mariologiczne". Albowiem, jak wiadomo, nie ma jasności w temacie Marioli.

JAN HARTMAN

Rys. WIDGET

Korpoiluzja

Kaufland kontra pracownicy cd.

Najnowszy odcinek tego korporacyjnego serialu: spór zbiorowy i zerwane rozmowy o podwyżki. Związkowcy z OPZZ Konfederacja Pracy w Kauflandzie mają konkretne postulaty. Chcą 1200 zł podwyżki do zasadniczej pensji od 1 stycznia 2026 r., zwiększenia zatrudnienia na stanowiskach niemenedżerskich o 30 proc., podwyższenia zakładowego funduszu świadczeń socjalnych (ZFŚS) oraz zaprzestania łamania prawa pracy i poszanowania wolności związkowej. To nie prośby – to wyraźne żądania godnej pracy.

Eryk Kościk nie może wrócić do pracy, mimo że sąd nakazał jego przywrócenie. Wojciech Jendrusiak zmaga się z pozwem na 175 tys. zł, bo odważył się mówić publicznie o łamaniu prawa. Kobiety powracające z urlopu macierzyńskiego wciąż czekają na rekompensaty (pisaliśmy o tym w „NIE" 29/2025). 8 sierpnia 2025 r. Sąd Okręgowy w Sosnowcu prawomocnie przywrócił Annę Bastę do pracy w markecie Kauflandu w Jaworznie. Kobieta została niesłusznie zwolniona dyscyplinarnie za rzekome niestosowanie procedur firmowych. W toku procesu okazało się, że pracownicy nie zostali odpowiednio zapoznani z procedurami i nie mieli do nich realnego dostępu. Sąd Rejonowy wcześniej nakazał przywrócenie Anny do pracy, a apelacja Kauflandu została właśnie oddalona jako bezzasadna.

5 sierpnia zaś miało odbyć się spotkanie przedstawicieli OPZZ Konfederacji Pracy z zarządem Kauflandu w sprawie podwyżek płac. Jednakże władze sieci odmówiły udziału w tym dialogu, odrzucając listę osób upoważnionych przez związek zawodowy. W odpowiedzi na tę decyzję Konfederacja Pracy ogłosiła, że spotkanie zostało odwołane, a dalsze rozmowy będą prowadzone w ramach procedury sporu zbiorowego.

Ceny w sklepach rosną. Pensje pracowników stoją. Każdy dzień to test cierpliwości, zdrowia psychicznego i poczucia własnej wartości. Spór zbiorowy daje nadzieję. Tylko tyle i aż tyle.

Facebook OPZZ Konfederacji Pracy w Kauflandzie pełny jest relacji pracowników, którzy opisują codzienną presję i trudności w pracy. Zmienny grafik, wysokie wymagania wynikowe i niepewność zatrudnienia to codzienność, z którą mierzą się osoby zatrudnione w sieci. Setki podobnych historii tworzą spójny obraz systemowej przemocy. Spór zbiorowy ma więc podwójny wymiar: ekonomiczny i moralny. Pracownicy walczą o podwyżki, ale też o prawo do pracy w godnych warunkach. O to, żeby strach nie stał się codziennym składnikiem pensji. O to, żeby wreszcie ktoś przestał udawać, że korporacyjne obietnice są czymkolwiek więcej niż marketingiem.

Kaufland odpowiada ciszą i zwalnianiem. Pracownicy odpowiadają determinacją i dokumentacją. Spór zbiorowy to narzędzie, które w rękach związkowców staje się mieczem. Mieczem wymierzonym w korpoiluzję. I tu pojawia się najważniejszy morał:

w polskich korporacjach można łamać prawo, ale nie można złamać ludzi, którzy nie boją się mówić. Każdy pozew, każda dyscyplinarka, każda groźba jest potwierdzeniem, że spór zbiorowy jest potrzebny.

Solidarność działa. Odwaga ma znaczenie.

Kaufland może dalej lansować się w social mediach, stawiać billboardy z uśmiechniętymi pracownikami. W realu to spór zbiorowy pokazuje, że za tym uśmiechem kryje się strach. Nie wszystko da się zamieść pod dywan. Nie wszystko da się przykryć billboardami. A spór zbiorowy – choć trudny, kosztowny i niebezpieczny – staje się jedyną szansą na godną pracę w Kauflandzie.

DAMIAN DUSZCZENKO

Życie W DOBROBYCIE

● „Zlikwidujemy podatek Belki" – obiecywano w kampanii, a wyborcy już liczyli, ile zostanie im w kieszeni. Tymczasem po miesiącach „prac nad zmianami" minister finansów Andrzej Domański ogłosił wehikuł marzeń – Osobiste Konto Inwestycyjne (OKI). Na pierwszy rzut oka wygląda jak spełnienie obietnicy: inwestycje do 100 tys. zł bez podatku od zysków kapitałowych. „Ponad połowa oszczędności Polaków leży w gotówce i depozytach, które słabo chronią przed inflacją" – przypomniał minister, tłumacząc, że nie ze 100, ale z 25 tys. zł wolnych od podatku dla lokat i obligacji trzeba się cieszyć. Resztę limitu, czyli 75 tys. zł, trzeba będzie ulokować w akcjach, funduszach czy innych papierach. A że większość rodaków od giełdy trzyma się dalej niż od brukselki na talerzu, to ulga pozostanie na papierze. A kto ma więcej niż 100 tys. zł, niech się szykuje na „symboliczny" podatek 0,8–0,9 proc. rocznie od nadwyżki. Symboliczny głównie dla budżetu – bo dla inwestora z dużym kapitałem to dodatkowy rachunek, niezależnie od zysków. Konto ma być dobrowolne, ale jeśli ktoś się nie zapisze, dalej płaci pełne 19 proc. Według MF do OKI trafi ok. 100 mld zł nowych oszczędności, a budżet straci na tym 250–300 mln zł wpływów z podatku Belki. Ale banki i biura maklerskie, które będą prowadzić konta, już zacierają ręce, bo to miliony z prowizji i opłat. I to sektor finansowy – podobnie jak w przypadku IKE czy IKZE – stanie się jedynym faktycznym beneficjentem zmiany, bo niezależnie od tego, ile zarobi klient, instytucja finansowa swoje weźmie zawsze. Podsumowując: podatek Belki miał zniknąć – nie zniknie. Zostanie przebrany w nowe szaty i rozpisany na limity, wyjątki i preferencje. Skorzystają nieliczni, straci złudzenia wielu. A finansowe instytucje? One – jak zawsze – zarobią. Tym razem pod flagą OKI.

● Tuskiem zapowiedziana repolonizacja ma się dobrze. Tak dobrze, że właśnie wpadła w amerykańskie ręce. Chodzi o wrocławską spółkę Callstack, która od 2016 r. robi rzeczy, o których większość polityków mówiłaby „nowoczesne technologie" z takim przekonaniem, jakby chodziło o mikser kuchenny. Firma wyspecjalizowała się w tworzeniu aplikacji wieloplatformowych i rozwoju React Native – technologii pozwalającej pisać program raz, a uruchamiać go na różnych urządzeniach. Efekt? Jej rozwiązania zostały pobrane ponad 20 mln razy, a korzystają z nich zespoły technologiczne z pierwszych stron branżowych gazet. „Budowanie Callstack od zera i doprowadzenie tej firmy do pozycji jednego z globalnych liderów swojej działki w zaledwie dziewięć lat było dla mnie niezwykłą życiową przygodą" – podsumowała Anna Lankauf, współzałożycielka i była prezeska. Przygodę zakończyła w momencie, gdy większościowy pakiet udziałów kupił amerykański Viking Global Investors, wyceniając firmę na 500 mln zł. Viking to amerykański fundusz inwestycyjny, który od 1999 r. doradza ludziom z grubym portfelem, jak pomnażać majątek. Zarządza ponad 50 mld dol.ww, ma biura od Nowego

eprasa.pl f5c8ff8e4d

SŁOWO CZERWONE

Brunatny gniew ludu

Faszyzm zrodzony z nierówności

Polska nigdy nie była tak bogata. Ale też nigdy ci na dole nie żyli o tyle gorzej od tych na górze. Kontrasty społeczne rodzą złość, a nawet nienawiść. Złota młodzież w metropoliach wydaje na jeden wieczór zabawy tyle, za ile biedna emerytka musi przeżyć miesiąc. Bieda samotnych matek, którym Kosiniak-Kamysz chce odebrać 800 plus, kontrastuje z bogactwem ludzi, którzy posiadają więcej niż jedno mieszkanie i z tego żyją.

Połowa ludzi pracy zarabia nie więcej, niż wynosi minimum socjalne. A za to minimum trudno jest przeżyć. Wystarczy pójść po zakupy, żeby zrozumieć, że wcale nie żyje się u nas dobrze i dostatnio. Szok jest taki, że ludzie wciąż z niedowierzaniem sprawdzają paragony i dodają, pozycja po pozycji, bo mają wrażenie, że kasjerka ich oszukała. Ale okazuje się, że paragony się zgadzają z zawartością wózków, tylko że ceny są astronomiczne w porównaniu z zarobkami.

Pół biedy, jeżeli ktoś ma mieszkanie po krewnym. Wtedy z trudem daje radę. Ale konieczność wynajmowania sprawia, że nawet przy nominalnie niezłych zarobkach trudno jest związać koniec z końcem. O znośnym poziomie życia decyduje nie tylko wysokość pensji, ale także to, czy się ma mieszkanie, w którym w ramach opłat nie trzeba płacić haraczu w postaci zysku dla właściciela lub dewelopera i banku.

Mój przyjaciel budowlaniec buduje teraz wraz z 49 innymi robotnikami budynek mieszkalny. Według jego wyliczeń deweloper uzyska 50 proc. marży. Gdyby zadowolił się niższą marżą i zapłacił więcej 50-osobowej załodze, ci, którzy te mieszkania budują, mogliby sobie też kupić mieszkania.

Bogactwo rodzi się z wyzysku i spekulacji. Bieda, niedostatek biorą się z niskich pensji i coraz wyższych kosztów utrzymania. Rodzą się gniew, frustracja. Ponieważ winni tej sytuacji chciwi i skąpi pracodawcy, jeszcze bardziej chciwi deweloperzy i lichwiarze nie chcą, by ten gniew skierował się przeciwko nim, robią wszystko, by podsunąć wkurzonym obywatelom kozły ofiarne. Wysokie czynsze i niedobór tanich mieszkań pod wynajem to oczywiście wina Ukraińców, którzy rzekomo dostają od gmin mieszkania komunalne.

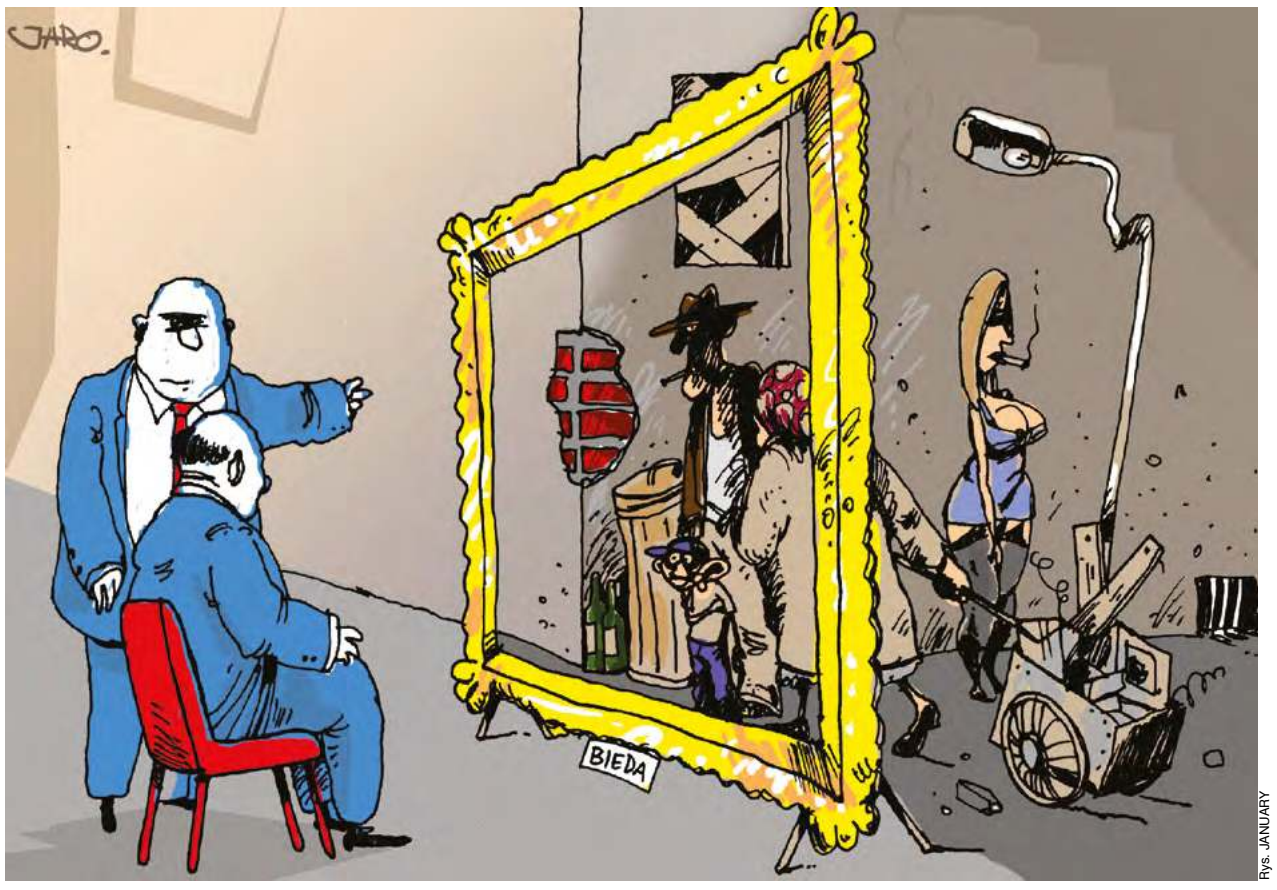

Rys. JANUARY

Mało kto zadaje sobie pytanie, skąd te mieszkania dla Ukraińców samorządy miałyby brać, skoro statystyczna gmina w Polsce buduje jedno mieszkanie rocznie.

Bieda mieszkaniowa w Polsce aż piszczy, a w samej Warszawie jest ponad 200 tys. pustych mieszkań, które trzyma się w charakterze lokaty i których się nikomu nie wynajmuje. Ta spekulacja, która pozbawia mieszkania ich funkcji mieszkalnej, powoduje, że ceny rosną.

Deweloperzy, którzy na zwyżce cen mieszkań zarabiają gigantyczne pieniądze, sponsorują kampanie wyborcze, by zapewnić sobie, że w sejmie zawsze będzie większość blokująca jakiekolwiek interwencje państwa w nasz patologiczny rynek mieszkaniowy i budowę mieszkań komunalnych, których pojawienie się na rynku spowodowałoby obniżenie cen. Kto więc te nowo budowane mieszkania kupuje? Spekulanci, którzy widzą w nich znakomite lokaty (skoro cena wciąż rośnie), oraz zagraniczni inwestorzy. Ostatnio sieć obiegła informacja, że deweloper z Niemiec kupuje 5 tys. mieszkań w Polsce. Takich deweloperów są setki, a ponieważ kupują tysiącami i świetnie na tym zarabiają, oni też przyczyniają się do tego, że przeciętnego Polaka na mieszkanie nie stać. Skoro jednak to niemiecka firma przeprowadza tak dużą transakcję, by na tej sytuacji korzystać, to w odbiorze społecznym Niemcy są współwinni.

Niemieccy deweloperzy, podobnie jak polscy, zarabiają na wysokich cenach mieszkań i lobbują, żeby te ceny wciąż rosły. Krzywdzą w ten sposób ludzi niezamożnych tak w Polsce, jak i w Niemczech, wszędzie tam, gdzie inwestują. A finansując polityków, którzy napuszczają na siebie całe narody, zyskują odwrócenie uwagi od swoich interesów po to, by oni sami, prawdziwi sprawcy nieszczęść, pozostali niezauważeni. Ksenofobia, histeria narodowa, nienawiść do obcych mają zastąpić słuszny gniew klasowy. Bo gdyby w sprawie opodatkowania budownictwa i pustych mieszkań niezamożna większość przegłosowała spekulatntów, problem byłby rozwiązany. Ceny mieszkań by spadły i żaden kapitał, ani polski, ani niemiecki, nie mógłby już czerpać ogromnych zysków ze spekulacji mieszkaniami.

W Berlinie, gdzie samorząd sprzedał funduszom korporacyjnym olbrzymią liczbę mieszkań komunalnych, powstał wielki problem społeczny. Wtedy lewicowa partia Die Linke zorganizowała referendum w sprawie odkupienia od funduszy po cenie rynkowej owych mieszkań. Niestety, socjademokratyczna SPD mająca większość we władzach miasta zablokowała realizację planu, który w ramach referendum uchwalili Berlińczycy. Nie tylko w Polsce deweloperzy opłacają polityków i rozdają karty.

W Niemczech, podobnie jak w Polsce, za niesprawiedliwości popełniane przez skorumpowane elity polityczne i ich bogatych sponsorów obwinia się imigrantów. W tym tkwi sekret wzrostu skrajnej prawicy.

Przyzwyczailiśmy się myśleć, że faszyzm może powstawać tylko w warunkach skrajnej biedy. Tymczasem okazuje się, że to nieprawda. Rodzi się również w warunkach skrajnej, wciąż narastającej nierówności.

To sprawcy tej nierówności, tego bogacenia się bogatych i biednienia biednych, odpowiadają za brunatną falę, która zalewa Europę i Stany Zjednoczone.

W USA, najbogatszym państwie świata, rośnie wciąż liczba ludzi skrajnie biednych. Trump kieruje gniew ludu przeciw imigrantom, których każe ścigać i deportować. Ale nawet jeśli deportuje wszystkich stosunkowo niedawno przybyłych, to Ameryka nie przestanie być bogatym krajem biednych ludzi.

W Polsce jest podobnie. Tylko że u nas biznes wciąż importuje tanią siłę roboczą, bo to świetny interes. Ostatnio Kolumbijczyków i Filipińczyków. Sponsorowane przez pracodawców media chwalą tych imigrantów jako sumiennych i mało wymagających pracowników, podczas gdy sponsorowane przez biznes partie szczują na tych ludzi, nawołując do linczu.

Większość imigrantów zarobkowych w Polsce jest tu legalnie. Zarabiają mniej niż Polacy, mieszkają w strasznych warunkach i są bardzo wydajni. I gdy narastają problemy społeczne, jest na kogo zwalić winę. Kapitał manipuluje opinią publiczną, żeby za jego grzechy płacili ci, których tu sprowadzają w charakterze taniej siły roboczej.

W ramach swoistego *danse macabre* bogate Niemcy i coraz bogatsza Polska przerzucają ludzi przez granicę w tę i z powrotem, tańcząc, jak im rodzimi faszyści zagrają.

PIOTR IKONOWICZ

Jorku przez Londyn po Hongkong i specjalizuje się w tym, jak z dobrych firm robić jeszcze większe. Callstack ma teraz rosnąć szybciej niż dotychczas, tylko że już pod gwiaździstym sztandarem. Można więc powiedzieć, że w repolonizacji nastąpiła drobna korekta – polska firma zamiast repolonizować cudze rynki, sama została „reamerykanizowana". No ale w końcu kapitał ma narodowość, a narodowość – jak widać – można zmienić w zależności od tego, kto zapłaci 500 mln.

● „Mamy za dużo regulacji" – ogłosił rzecznik rządu Adam Szłapka, komentując decyzję Intela o tym, że pod Wrocławiem jednak nie powstanie fabryka półprzewodników za 4,6 mld dol. Czyli, mówiąc wprost, nie będzie też 2 tys. miejsc pracy. Szłapka nie zawracał sobie głowy tym, co na temat własnej decyzji napisał nowy prezes Intela Lip-Bu Tan: „W ostatnich latach inwestowaliśmy zbyt dużo, zbyt szybko, nie mając wystarczającego zapotrzebowania na nasze produkty. W efekcie nasza sieć fabryk została nadmiernie rozdrobniona i niedostatecznie wykorzystywana. Musimy skorygować kurs". Ale po co rzecznik ma powtarzać nudne fakty, skoro można zbudować własną narrację? „Im więcej mamy regulacji, tym jesteśmy mniej konkurencyjni i możemy przegrywać konkurencję np. z rynkami azjatyckimi" – stwierdził Szłapka, przekonując, że to nie sprawy Intela, ale „kwestia konkurencyjności całej Europy". Przy okazji pochwalił

Rys. WIDGET

się, że rząd wprowadził już „ponad 129 zmian deregulacyjnych" i jeszcze trochę, a Azja zacznie nas błagać o lekcje, jak się wygrywa konkurencję. Wychodzi więc na to, że globalna korekta biznesowa, która objęła całą Europę, dla rządu Tuska stała się dowodem na to, że to Unia i regulacje są winne. A fabryka Intela? Nie opłacała się, ale przecież można udowodnić, że „nie opłacała się" głównie przez przepisy, które znikają w tempie 129 zmian rocznie. A że inwestorzy liczą dolary, a nie paragrafy w Dzienniku Ustaw?

● Zamiast przestraszonego regulacjami Intela do Opola wprowadzą się więc Chińczycy. Ale nie tacy od laptopów czy telefonów, tylko od motoryzacji. Firma Shanghai Pret Composites wynajęła tam ponad 7 tys. mkw. powierzchni, żeby robić polimery dla branży samochodowej i przemysłowej. Chińczycy nie muszą nawet budować fabryki. Budynek w Opolu stoi, wystarczy go trochę podładować prądem, zamontować panele fotowoltaiczne i już można produkować. „Wejście na rynek polski to dla naszej firmy kolejny krok w umacnianiu globalnej obecności" – mówi Hao Gong z Shanghai Pret Composites, co w tłumaczeniu z korpomowy oznacza mniej więcej tyle, że Chińczycy chcą zdążyć z inwestycją, zanim ktoś w Brukseli wpadnie na pomysł wprowadzenia ceł także na polimery. Ironia losu polega na tym, że parę miesięcy temu Polska w unijnym gronie radośnie przyklepała cła na chińskie samochody elektryczne. Chińczycy – według niektórych – poczuli się urażeni i zaczęli zwijać biznesy w Polsce. HSBC zwolnił ludzi w Krakowie, producenci aut grozili, że fabryki otworzą w Hiszpanii, a tu proszę – motoryzacyjny gigant z Szanghaju wjeżdża do Opola. Może to jest właśnie nowa definicja „repolonizacji" – skoro nie możemy mieć Intela, to będziemy mieli chińskie plastiki.

● Niemal polskie Pendolino na trasie Warszawa–Kraków kosztuje dziś tyle, że za tę samą kwotę można polecieć z Warszawy do Malagi. Tymczasem pracownicy PKP Intercity tych biletowych kokosów nawet nie wąchają. Związki zawodowe, w tym Związek Zawodowy Maszynistów Kolejowych, zakończyły negocjacje z zarządem i spisały „protokół rozbieżności", co oznacza, że rozmowy wykoleiły się na dobre. Maszyniści i inni pracownicy chcą od 1 lipca 2025 r. po 1000 zł brutto więcej do pensji zasadniczej, a ci wynagradzani według wskaźnika – proporcjonalnego wzrostu. PKP Intercity przewiozło w zeszłym roku 78,5 mln pasażerów – o 15 proc. więcej niż rok wcześniej i o 33 proc. więcej niż w 2022 r. W tym roku chce dobić do 88 mln, a w 2030 r. – do 110 mln. Wszystko to czterema kategoriami pociągów: ekonomicznymi TLK i IC oraz ekspresowymi EIC i Pendolino EIP. Te ostatnie – dumne „premium" kolei – są też „premium" w kasie biletowej. Aż strach pomyśleć, ile będą kosztowały bilety, jeśli protestujący wygrają i podwyżki wejdą w życie. Bo po podniesieniu stawek może się okazać, że taniej wyjdzie przemieszczenie się z Warszawy do Nowego Jorku niż do Zakopanego. Pytanie tylko, kto wtedy będzie jeszcze jeździł koleją? Może wyłącznie ci, którym na lotnisko nie kursuje autobus.

TTJ

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Seksapil i klapsy

Z życia uniwersytetów

W ramach sezonu ogórkowego wybuchły dwa skandale związane z wykładowcami, którzy ponoć chcieli zakisić ogóra – lecz zabierali się do tego w sposób społecznie nieakceptowalny, podle molestując studentki.

Obie sprawy są – jak mawiają policjanci i prokuratorzy – rozwojowe. Być może skończą się w sądzie.

Przystojny po czterdziestce

Zgodnie z zasadą starszeństwa zacznijmy od dr. hab. prof. Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach Artura Życkiego, który za oskarżenia wobec siebie zapłacił na razie utratą stanowiska dyrektora Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Polityk Publicznych (ISMiPP).

8 maja br. sześcioro podpisanych z imienia i nazwiska studentów zgłasza rektor UJK Beacie Wojciechowskiej sprawę, prosząc o pomoc i interwencję. Jak donoszą media, Życkiemu zarzucano, że upatrzył sobie dwie studentki: obleśnie wgapiał im się w dekolt, publicznie komentował ich ciała, na wykładach czynił aluzje seksualne, ze szczegółami opowiadał o swej wizycie w burdelu. Przekonywał, że „władza ma seksapil" i zapytywał studentki, czy „nie chciałyby być z kimś przystojnym po czterdziestce u władzy?" (swoją drogą, grubo po czterdziestce – zważywszy, że studia skończył w roku 1988).

Życki skarżył się mediom, że padł ofiarą kalumnii, a młodzi ludzie zostali zmanipulowani przez jego przeciwników z instytutu. Stwierdził nawet, że zaproponował rektor i rzecznikowi dyscyplinarnemu, aby jego prawdomówność potwierdziło badanie wariografem. W rozmowie z lokalną „Wyborczą" przedstawił się też jako ktoś o poglądach „na lewo od centrum", wręcz feminista: „Podkreślałem rolę kobiet. Tłumaczyłem, że nadchodzi ich wiek i że feminizm nie może być sprowadzany tylko do postulatu przerywania ciąży. Może jakiemuś mężczyźnie to się nie spodobało?".

W konflikt zaangażowali się pracownicy ISMiPP, włącznie z byłą dyrektor, znaną z mediów prof. Agnieszką Kasińską-Metryką. 21 maja 11 pracowników podpisuje list do rektor, żądając wyjaśnienia sprawy. Życki to bagatelizował, wspominając, że wśród zarzutów jest choćby to, że nie mówi „dzień dobry". W końcu został zdymisjonowany na początku czerwca (wraz ze swoim zastępcą) po tym, jak odmówił ustąpienia ze stanowiska – bo byłoby to rzekomo przyznaniem się do winy.

Co ciekawe, na razie wszystko wskazuje, że Życki będzie normalnie od października prowadził zajęcia. Jak wyjaśniono w oficjalnym oświadczeniu na stronie uczelni, odsunięcie go „jest możliwe dopiero po wszczęciu postępowania karnego lub dyscyplinarnego, na chwilę obecną trwa postępowanie wyjaśniające, które poprzedza ewentualne wszczęcie postępowania dyscyplinarnego".

Konfederata skrzywdzony

Nieco inaczej rozwinęła się historia dotycząca (na szczęście już byłego) profesora Akademii Wymiaru Sprawiedliwości (AWS) Jarosława Szczepańskiego.

Prawnik i politolog Szczepański – dla którego AWS była drugim etatem, pierwszym jest (nadal!) UW – to nie byle kmiot. Zanim wybuchła afera, jego fotografia widniała na stronie konfederackiej Fundacji Dobry Rząd obok Przemysława Wiplera i Sławomira Mentzena. A w KRS Szczepański widnieje jako wiceprezes ds. programowych fundacji, przy czym jego nazwisko znajduje się tuż za prezesem Wiplerem.

12 marca dr Magda Olesiuk-Okomska poinformowała dziekana Instytutu Nauk Prawnych dr. Jędrzeja Kondka, że studentki skarżą się na niewłaściwe zachowanie Szczepańskiego. Wniosły one oficjalną skargę do rektora-komendanta AWS dr. Michała Sopińskiego 1 kwietnia – i nie był to bynajmniej prima aprilis… Postępowanie wyjaśniające zakończyło się wnioskiem o postępowanie dyscyplinarne przed komisją przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Od początku postępowań Szczepański nie prowadził zajęć. 7 lipca złożył wypowiedzenie z pracy w AWS.

Studentki twierdzą, że Szczepański je rozbierał i dotykał, chciał wymierzać im klapsy – a te, które nie odpowiadały na jego kuriozalne zaloty, oblewał na egzaminie. Szczepański odpowiedział kontratakiem – składając pozew cywilny przeciwko jednej z oskarżycielek i twierdząc, że padł ofiarą ataku politycznego, bo sam chciał odwołania rektora AWS.

Wytępić tę zarazę

O tym, jak podchodzą na uczelniach do molestowania – a raczej napastowania seksualnego – niech świadczy oświadczenie wysłane mediom przez prorektora ds. studenckich AWS dr. Jakuba Czarkowskiego: „Jest prawdą, że studentki naszej uczelni są atrakcyjnymi dziewczętami, które mogą się podobać, jednak w żadnym wypadku nie usprawiedliwia to molestowania lub innych form naruszenia godności osobistej. (...) Myślę jednak, że trudno się dziwić, iż uroda zwraca uwagę, ten proces jest naturalny. Samo zwrócenie uwagi czy spojrzenie nie jest molestowaniem w mojej ocenie".

Podobno Czarkowski, postać bogobojna – pracował w katolickim liceum, ucząc wiedzy o społeczeństwie i przygotowania do życia w rodzinie, był też przez dekadę wychowawcą w jednym z warszawskich domów dziecka – na dniach może się spodziewać skargi studentek na siebie, gdyż (wedle ich relacji) miał je nazwać „głupimi pipami".

Pamiętny Zygmunt Kałużyński stwierdził kiedyś, że błędem jest łączenie gwałtu z seksem, naprawdę bowiem przynależy on do sfery przemocy. Nie idzie w nim o zaspokojenie seksualne, lecz zdominowanie kogoś, poniżenie i upokorzenie, a często ukaranie (bo piła alkohol, bo nosiła mini itd.). Molestowanie i napastowanie seksualne na uczelniach – a praktycznie zawsze jest ono dziełem mężczyzn – nie ma nic wspólnego z wysokim libido wykładowców i ich swobodnym stylem bycia, lecz ma wszystko wspólne z władzą, którą niektórzy się upajają jak narkomani fentanylem.

Tę zarazę należy wypalić żelazem. W oczywistych przypadkach uczelnie powinny sięgnąć po dyscyplinarki, jak to się stało w Warszawie w przypadku byłego dziekana jednego z wydziałów UW, Daniela Przastka. Nie jest też zresztą przypadkiem, że sprawy Życkiego i Szczepańskiego nabrały rozpędu po pogonieniu Przastka z uniwersytetu. Młode kobiety dostrzegły zapewne, że nawet ustosunkowani i potężni wykładowcy nie są nietykalni i mogą odpowiedzieć za swe postępki.

Rzecz jasna, obie sprawy powinny znaleźć finał w sądzie. Jeśli akademicy faktycznie padli ofiarą spisku, należy oczyścić ich z wszelkich zarzutów. Nie wydaje się to szczególnie prawdopodobne, ale nie zamierzam bawić się w sędziego, który powinien przesłuchać pokrzywdzone, świadków i oskarżonych.

Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że czegoś tu brakuje. Otóż chyba

nadszedł najwyższy czas, aby – pokonując barierę wstydu – studentki zaczęły pozywać w postępowaniach cywilnych szkoły wyższe zatrudniające molestatorów, a często lekceważące sygnały o ich nikczemnościach.

Kiedy uczelniom przyjdzie wypłacać wielotysięczne odszkodowania, same zadbają, by wykładowcy po prostu uczyli, a nie traktowali swoje studentki jako niewolnice seksualne.

Chuj w dupę z kotwicą wszystkim molestującym ciulom!

KAT

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z punktu widzenia trypra, chlamydii czy rzęsistka Polska ma najlepszy rząd w Europie.

Nad Wisłą wybuchła epidemia. Najpierw w statystykach. Potem pod skórą, między nogami, przez śluzówki i płyny ustrojowe. Choroby przenoszone drogą płciową – STI – zyskały drugą młodość. Zresztą nie tylko w Polsce. Cała Europa odczuwa wzrost zakażeń, ale to u nas wzrost sięgnął ponad 300 proc. od 2020 r.

Ulotka zamiast antybiotyku

Między 2021 a 2022 r. przypadków rzeżączki przybyło o 48 proc. Kiła – skok o 34 proc. Chlamydioza – o 18 proc. Lekarze ujmują rzecz bez ceregieli: „Kiłę pięknie się leczy, ale trzeba ją najpierw wykryć. A nie da się jej złapać na basenie". W teorii proste. W praktyce – liczba przypadków kiły wrodzonej po raz pierwszy od 40 lat nie jest zerowa. Czyli kobieta w ciąży nie wie, że choruje, a dziecko rodzi się zakażone. Cztery dekady postępu medycyny, a jedna decyzja o niestandardowym seksie i historia wraca do punktu wyjścia.

Problem leży nie tylko w liczbach. Leży w głowach. „Wiele osób nie zgłasza się do lekarza z powodu wstydu lub strachu" – mówią mediom lekarze. „Wielu pacjentów leczy się prywatnie, więc ich przypadki nie trafiają do rejestrów sanepidu. Dane są zaniżone". Kiła, rzeżączka, HIV? Już dawno nie są to tylko problemy środowisk LGBT. Wskaźniki rosną zarówno wśród młodych, jak i starszych. Tak w dużych miastach, jak i w mniejszych ośrodkach. Choroba nie sprawdza metryki, nie pyta o status związku. Wystarczy jeden numerek. Czasem szybki.

Gdy naukowcy biją na alarm, urzędnicy odpowiadają kampanią pod hasłem „Bezpieczne wakacje z sanepidem". Ktoś widział? Ktoś słyszał? Ktoś zapamiętał? No właśnie.

W odpowiedzi na epidemię, której nikt nie ogłasza, państwo polskie ogłasza Strategię. Z dużej litery, bo brzmi lepiej. W kwietniu 2024 r. Krajowe Centrum ds. AIDS ogłosiło rozpoczęcie prac nad „Strategią przeciwdziałania zakażeniom przenoszonym drogą płciową" na lata 2026–2030. Powstaje pod okiem Głównego Inspektoratu Sanitarnego, we współpracy z Europejskim Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC). Cóż więc z niej wynika?

Ano: „wielosektorowa współpraca", „eliminacja luk w profilaktyce", „precyzyjne określenie priorytetów", „nowoczesne metody profilaktyki", „kampanie informacyjne", „monitoring sytuacji epidemiologicznej", „wzmocnienie systemu opieki zdrowotnej". Z zewnątrz wygląda

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ PKO BP w II kwartale 2025 r. nabił sobie skarbonkę do 2,66 mld zł zysku netto. O 13,2 proc. więcej niż rok wcześniej i nawet powyżej tego, o czym marzyli analitycy. W całym półroczu wyszło 5,13 mld zł, czyli +16,7 proc. rok do roku. I nie, to nie jest cud gospodarczy. To kolejny odcinek serialu „Jak system bankowy doi społeczeństwo". Żadne dodatkowe podatki, które tu proponuje lewica, nie wyleczą choroby, bo to nie katar, tylko rak prawa bankowego. Banki od lat funkcjonują jak święte krowy. Informatyzacja wywinęła filozofię bankowości na lewą stronę – z korzyścią dla finansowych krwiopijców, a z defektem, i to solidnym, dla zwykłych kredytobiorców.

▮ Od 11 września Autostrada Wielkopolska SA po raz drugi w tym roku podniesie opłaty za odcinek A2 Nowy Tomyśl–Konin. O ile? – tego na razie nie zdradzają, bo niespodzianka musi być. GDDKiA już kręci nosem, ostrzegając, że drożej może oznaczać tłoczniej… na drogach lokalnych. Autostrada Wielkopolska tłumaczy, że to wszystko w imię „wysokiego standardu" i zgodnie z umową koncesyjną, a inflacja też przecież chce swoje. W marcu było pierwsze cięcie po kieszeni. Dziś osobówka płaci 36 zł za każdy z trzech 50-kilometrowych kawałków, a ciężarówki nawet 138 zł. W efekcie ekonomiczny kierowca wydaje więcej na prawo do toczenia się po A2 niż na paliwo, żeby się po niej toczyć.

▮ Uwaga, kierowcy! Ministerstwo Infrastruktury też zadbało o wasze portfele. Od września badanie techniczne samochodu osobowego będzie kosztować nie 98, a aż 149 zł (wzrost o 51 zł!). Inne badania też zdrożeją proporcjonalnie. To pierwsza podwyżka od 2004 r., bo przecież stacje diagnostyczne też muszą z czegoś żyć. W końcu inflacja, drożyzna… a samochody same nie przejdą przeglądu.

▮ Sejmik Województwa Łódzkiego przegłosował zakup Bramy Miasta przy Kilińskiego 66a za okrągłe 160 mln zł. To nowoczesny kompleks biurowy obok Dworca Łódź Fabryczna. Dwie wieże, 40 tys. mkw. biur, 230 miejsc parkingowych i elewacja z modnej stali Corten. Budowała to Skanska – w dużej mierze na wiarę, bez pełnego kompletu najemców. I proszę, jaki szczęśliwy zbieg okoliczności: pojawia się samorząd z publicznym portfelem i rozwiązuje problem pustostanu. Kiedy inni deweloperzy liczą na cud, Skanska właśnie dostała swój – w formie uchwały sejmiku.

▮ NIK ujawnia: gminy wydają miliony na bezdomne zwierzęta, ale problem nie znika. Kontrola wykazała, że aż 90 proc. funduszy idzie na opiekę nad osobnikami już bezdomnymi (schroniska, wyłapywanie, remonty), a zaledwie 10 proc. na kastracje i sterylizacje. W efekcie liczba bezdomnych psów i kotów w Polsce (ok. 1 mln) stoi w miejscu. W 2023 r. oznakowano tylko 192 i wykastrowano 202 zwierzęta – grzmiał z oburzeniem Andrzej Aleksandrowicz z delegatury NIK w Zielonej Górze. NIK wytknęła gminom liczne uchybienia, m.in.: brak zgodności programów z ustawą, pomijanie kotów w planach kastracyjnych, nieprawidłowy wybór wykonawców zadań, brak kontroli schronisk oraz zaniedbania edukacyjne. Mhm! Nie ma żadnych historycznych dowodów na to, aby w nazistowskich Niemczech ktoś prowadził program sterylizacji lub eutanazji bezdomnych zwierząt. To stawia III Rzeszę w lepszym świetle, niż można byłoby się spodziewać.

▮ Bursztynowa Komnata na Kaszubach? Sensacyjne doniesienia z Dziemian, gdzie trwają poszukiwania domniemanego niemieckiego depozytu z II wojny światowej. Inicjator poszukiwań Jan Delingowski wierzy, że właśnie tam ukryta jest legendarna Bursztynowa Komnata wywieziona z Królewca. Badania georadarowe przeprowadzone przez AGH wykazały „wyraźną anomalię" (czytaj: coś tam jest, ale nie wiadomo co), co zachęciło naukowców do rekomendacji odwiertów. Konserwator zabytków dał zielone światło. Skąd Delingowski wziął pomysł na poszukiwania właśnie tam? Opiera się na relacji byłego więźnia, który w latach 80. miał rozmawiać o skarbie z niemieckim zbrodniarzem wojennym Erichem Kochem. Jasne. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że żadnej komnaty tam nie ma, a Delingowski to po prostu komnatoholik z nawrotami.

▮ Rewelacje z Gór Świętokrzyskich! Naukowcy z Państwowego Instytutu Geologicznego i Uniwersytetu Jagiellońskiego, zamiast leżeć do góry brzuchem na plaży, pojechali w góry. Odkryli najstarsze na świecie ślady kręgowców poruszających się po lądzie. Mają ponad 400 mln lat. Należą do ryb dwudysznych, które próbo-

eprasa.pl f5c8ff8e4d

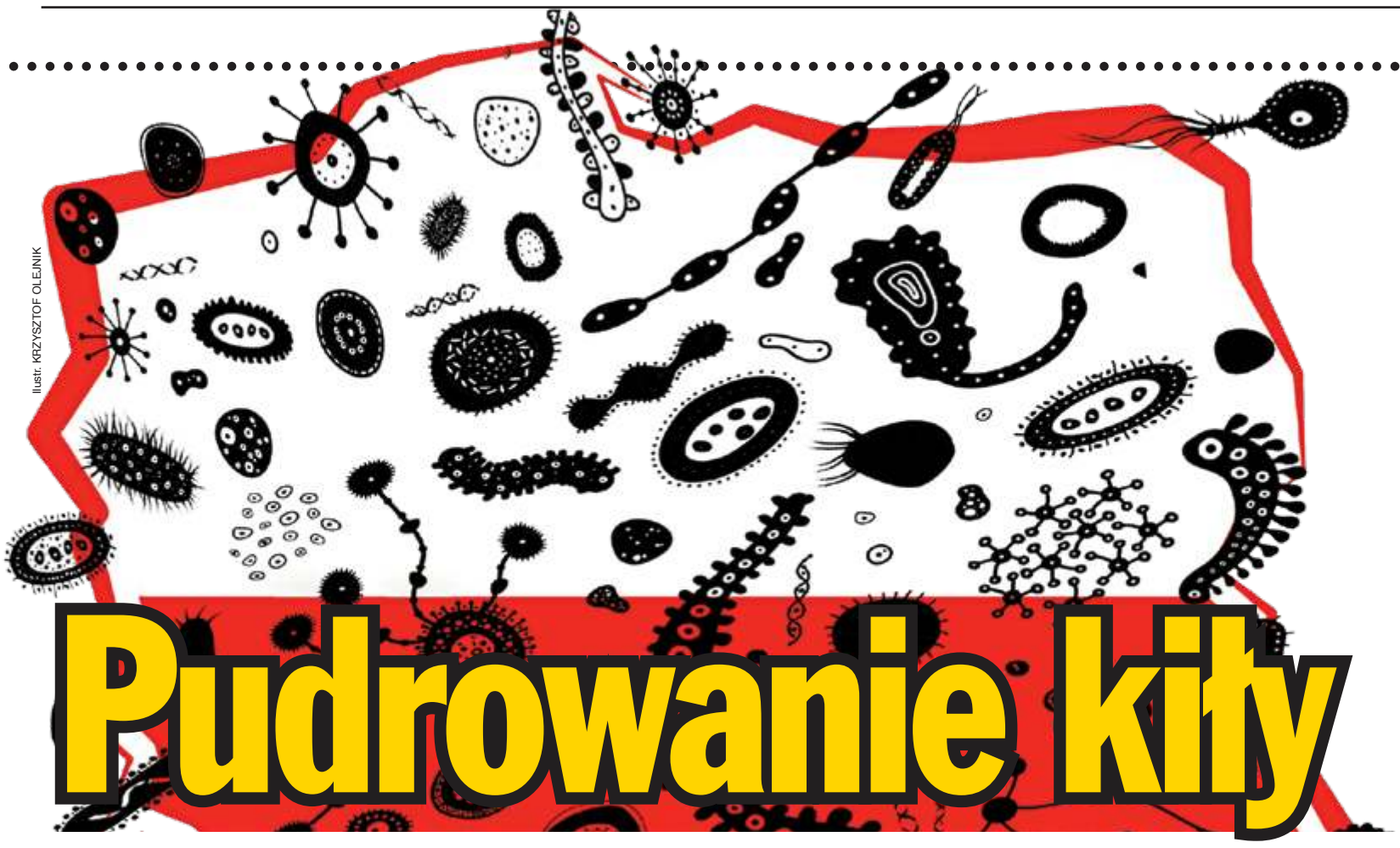

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pudrowanie kiły

to jak plan. Od środka – jak folder reklamowy korporacji, która sprzedaje „wartości" i „misję" zamiast konkretu. Nie wiadomo, kto za co odpowiada. Nie wiadomo, kiedy pojawią się pieniądze. Nie wiadomo, co i gdzie zostanie wdrożone. Wiadomo tylko jedno: strategia nie ma żadnego związku z tym, co pacjent widzi w przychodni.

Strategia nie zapewnia więcej testów w szkołach. Nie rozwiązuje problemu „kłopotliwych objawów", z którymi ludzie wstydzą się pójść do lekarza. Nie obiecuje bezpieczniejszego seksu. Nie finansuje szczepień przeciw HPV dla dorosłych. Nie daje sensownych narzędzi lekarzom pierwszego kontaktu. Ale za to daje urzędnikom dokument do cytowania. Bo w razie czego przecież mamy strategię.

300-procentowy wzrost zakażeń to nie trend – to zapaść. A jedyną realną reakcją państwa na to wszystko jest akcja wakacyjna. Jakby ktoś chciał zwalczać nowotwory ulotką o kremie z filtrem.

Weź sobie posmaruj

Od dekad reklamy preparatów na „intymne dolegliwości kobiet" trwają w telewizji bez żadnej żenady. Z ekranu leci na nas upiorna seria wygładzonych głosów kobiet, które „wreszcie czują się komfortowo", „szanują swoją kobiecość" albo „odzyskują radość" dzięki temu czy innemu . Spoty są do siebie podobne jak klony z jednej matrycy: kamera powoli przesuwa się po kobiecej sylwetce, pastelowa bielizna, podgłośniony dźwięk oddechu, a potem eleganckie opakowanie w zbliżeniu. Główny przekaz: kup, zaaplikuj i będzie dobrze.

Weźmy przykład kampanii środka Iladian Direct Plus emitowanej w TV i internecie. W 30-sekundowym spocie kobieta mówi: „Zdarzyło mi się... pieczenie, swąd, dyskomfort. Ale teraz mam Iladian Direct Plus. Działa szybko i skutecznie". Produkt ukazany jako bezpieczne, samodzielne remedium. Podobnie Pirolam Intima Vag – jego reklama podkreśla: „Gdy masz upławy i podrażnienie, sięgnij po Pirolam".

Wmawianie kobietom, że grzybica, bakteryjna waginoza czy jakikolwiek stan zapalny pochwy to drobnostka do „samodzielnego ogarnięcia", jest nie tylko intelektualnym oszustwem, ale i zagrożeniem zdrowotnym. Bo jeśli kobieta nie pójdzie do lekarza, to nie ma najmniejszych szans, by sama rozpoznała, co się w jej organizmie dzieje. Różnica między grzybicą a rzęsistkowicą? Między infekcją bakteryjną a chlamydią? Różnica, która w telewizyjnych spotach nie istnieje.

Bez in vitro ani rusz

Weźmy na przykład grzybicę pochwy. Objawy – białawe, serowate upławy, pieczenie, swędzenie, ból przy oddawaniu moczu – bywają na tyle uciążliwe, że kobiety najczęściej same diagnozują się jeszcze przed wizytą lekarską. Jeśli jednak infekcja wraca cztery, pięć razy w roku, to już sygnał alarmowy: może chodzić o zaburzenia odporności, cukrzycę albo inne głębsze problemy zdrowotne. Wbrew pozorom przewlekła grzybica nie kończy się tylko na uciążliwościach – może uszkodzić nabłonek i znacząco pogorszyć jakość życia.

Jeszcze bardziej zdradliwa jest bakteryjna waginoza – zwodniczo łagodna, często bez świądu, jedynie z wodnistymi, szarymi, rybimi upławami. To efekt zaburzeń mikroflory pochwy: dobrych bakterii jest za mało, złych – za dużo. Wydaje się błaha? A jednak skutki to nie tylko zwiększona podatność na HIV i HPV, ale też realne zagrożenie dla ciąży – poronienia, wcześniactwo, zakażenia poporodowe. I jakby tego było mało – ryzyko zapalenia narządów miednicy mniejszej, które może prowadzić do niepłodności.

Rzęsistkowica? Uciążliwa, ale często bezobjawowa – co czyni ją szczególnie niebezpieczną. U kobiet objawia się żółto-zielonymi, pienistymi, cuchnącymi upławami, pieczeniem i bólem przy seksie. Nieleczona zwiększa ryzyko zarażenia HIV i innych STI, wpływa negatywnie na ciążę i zdrowie noworodka. I może trwać latami, niepostrzeżenie niszcząc układ rozrodczy.

Chlamydia z kolei to mistrzyni kamuflażu – u 70 proc. kobiet przebiega bezobjawowo. Kiedy już coś sygnalizuje, to zwykle jako pieczenie przy oddawaniu moczu, krwawienia po stosunku albo ból podbrzusza. Brzmi jak banalna infekcja dróg moczowych, a tymczasem bakteria zdążyła przenieść się do jajowodów, gdzie wywołuje zapalenie, blizny, a w efekcie – bezpłodność. Statystyki są brutalne: nawet u 15 proc. zakażonych rozwija się zapalenie narządów miednicy mniejszej, które z kolei pięciokrotnie zwiększa ryzyko ciąży pozamacicznej. I czasem wszystko to dzieje się bez jednego ostrzeżenia od organizmu.

A właśnie tak działa PID – zapalenie narządów miednicy mniejszej. To nie nazwa choroby, lecz diagnoza zbiorcza obejmująca stany zapalne macicy, jajników, jajowodów, a czasem i otrzewnej. Może mieć postać ostrą: z bólem, gorączką, nudnościami albo przewlekłą, albo wręcz niemą. Ale skutki są zawsze poważne: co ósma kobieta z PID nie zajdzie już w ciążę. U niektórych rozwijają się ropnie, które trzeba usuwać operacyjnie. Inne żyją z przewlekłym bólem miednicy. Jeszcze inne – trafiają do szpitala z sepsą.

Ale o tym żadna bohaterka reklamy nie wspomina. Bo producent nie ma w tym interesu. Interes ma w tym, by lek bez recepty zniknął z półki aptecznej. Nieważne, czy komuś pomoże, czy zaszkodzi. I tu zaczyna się najpoważniejszy problem: kobiety uczone są, by ufać sobie, swojej intuicji i delikatnym objawom. Ale jednocześnie uczone są, by nie zawracać głowy lekarzowi „głupstwami". Efekt? Tysiące przypadków zaniedbań, samoleczenia i bagatelizowania symptomów, które powinny zapalać czerwone lampki.

Nie chodzi o panikę. Chodzi o podstawową uczciwość. Bo jeśli kobieta ma stan zapalny i sięga po bezreceptowy lek, to działa w dobrej wierze.

Ale ta dobra wiara została zmanipulowana przez marketing, który w żadnym wypadku nie ma charakteru informacyjnego. Reklama leku to nie porada lekarska. A niestety, wiele kobiet traktuje ją jako taką właśnie.

Niech ktoś spróbuje zrobić reklamę: „nieleczony stan zapalny pochwy może prowadzić do niepłodności, nie lecz go samodzielnie, idź do lekarza". Nie zrobią. Bo taki komunikat niczego nie sprzeda. A media, zasilane budżetami reklamowymi firm farmaceutycznych, nie mają interesu, by przestrzegać. Mają interes, by świadczyć usługi reklamowe. Więc świadczą. Kobiety zaś, odsyłane z ekranów do aptek, często lądują ostatecznie w gabinetach ginekologów, gdy jest już za późno. Ale państwu polskiemu, widać, to nie przeszkadza.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

wały wyjść z wody już 10 mln lat przed pojawieniem się czworonogów. Ślady, ochrzczone *Reptanichnus acutori*, dokumentują ruch ciała, ogona i pyska, wskazując na dominację… prawej półkuli mózgu! Mamy więc najstarszy dowód leworęczności u kręgowców. Co to oznacza? Ano to, że protoplaści mieszkańców Kielc byli, jak podejrzewaliśmy, rybami-mańkutami.

▮ Estończycy zatrzymali polskiego „ochotnika" do armii Putina. 49-letni Polak próbował przepłynąć rzekę Narwę na dmuchanym materacu, aby dostać się do Rosji i wstąpić w szeregi jej wojska. Mężczyzna dumnie prezentował symbole poparcia dla rosyjskiej agresji na Ukrainę. Sąd w Viru nie bagatelizował zagrożenia i aresztował „komandosa" na dwa miesiące, uznając, że jego materac stanowił poważne ryzyko dla bezpieczeństwa Estonii, a nawet całej UE! Trochę przesada. Taka nadgorliwość w pilnowaniu granic do niczego dobrego nie prowadzi.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

▮ W chorwackim Igrane zrobiło się „po polsku". Dwóch rodaków, zatankowanych odpowiednio do 1,92 i 1,12 promila, postanowiło urządzić awanturę, w której oberwał 67-letni Chorwat broniący siostry. Mężczyzna zasłabł i zmarł. Sprawcy usłyszeli zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci. Miejscowi twierdzą, że to nie pierwszy raz, bo w ostatnich czterech latach było co najmniej 70 zgłoszeń o „polskich incydentach". Po tragedii burmistrz delikatnie zasugerował, by nasi rodacy sprzedali domy i wynieśli się z miasteczka. Mieszkańcy zorganizowali protest przeciwko „importowi chamstwa" znad Wisły.

▮ W Gdańsku 22-letni obywatel Kolumbii, mając 1,5 promila alkoholu we krwi i bez uprawnień do kierowania, uderzył w znak drogowy i zaparkowany samochód, po czym zabrał nogi za pas. Policja zatrzymała go, gdy triumfalnie powrócił po swój rozbity pojazd. Grozi mu do trzech lat więzienia i słona grzywna. Ledwo co uporaliśmy się z narodowym pijaństwem za kółkiem, a tu już import daje o sobie znać.

▮ Szczytniki Czerniejewskie: tragiczne zderzenie pociągu z samochodem. Kierowca wyłamał rogatki i wjechał na przejazd, ginąc na miejscu. Ofiarą jest 29-letni policjant wracający ze służby. Nie był pijany, nie był naćpany. Po prostu… policjant.

▮ Pan Zygmunt, 60-letni urzędnik jednego z centralnych warszawskich urzędów, uwierzył w mejla od arabskiego księcia, który obiecał mu milion dolarów – pod warunkiem, że najpierw wpłaci 20 proc. tej kwoty. Zygmunt, pewny swojej misji i przekonany, że został wybrany za znajomość angielskiego oraz pozytywną weryfikację przez Interpol, sprzedał dwa mieszkania. Wziął też kredyty i wysłał ponad milion złotych na wskazane konta. Książę zniknął. Nasz bohater postanowił odegrać się w loteriach… co skończyło się kolejnymi stratami. Dziś ma komornika na karku i długi większe niż jego nadzieje na emeryturę. W którym ministerstwie pracował ten światły człowiek, media nie podają, ale patrząc na ramotność obecnego rządu, spokojnie mógłby w każdym.

▮ Pan Stefan S., 55-latek z Oławy, przez pół wieku wynajmował od miasta lokal, w którym prowadził pracownię introligatorską. Płacił czynsz. Nigdy nie był informowany o obowiązku opłacania podatku od nieruchomości – do 2024 r. Wtedy otrzymał wezwanie do zapłaty zaległości za lata 2019–2023 (3831 zł) oraz podatek za 2024 r. (łącznie 4844 zł). Mężczyzna uważa, że podatek od nieruchomości to obowiązek właściciela lokalu, czyli gminy. Podkreśla, że gdyby wiedział o przepisach, płaciłby na bieżąco, a nie wstecz. Złożył wniosek o umorzenie zaległości. Urząd zmniejszył kwotę o 1226 zł, lecz nadal domaga się zapłaty. Pan Stefan rozważa skierowanie sprawy do sądu, zarzucając urzędowi brak wcześniejszych wezwań i nieuczciwe traktowanie najemcy. Generalnie jakbyśmy stanęli po stronie zdrowego rozsądku i intuicji, to pan Stefan ma rację. Natomiast jeżeli chodzi o prawo, to pan Stefan jej nie ma. Użycie sformułowania „legalny nonsens" jest w tym przypadku zasadne i prawdziwe.

▮ Urząd Miejski w Suwałkach ogłosił, że od teraz podatki miejskie można opłacić BLIK-iem lub kartą, bez prowizji, przez aplikację mObywatel. Mieszkańcy zobaczą w aplikacji kwoty i terminy płatności, a na telefon przyjdzie im przypomnienie, żeby nie zapomnieli przelać „obowiązkowego wkładu w szczęście lokalnej administracji". Brawo! Po 32 latach od pojawienia się kart płatniczych w Polsce nowoczesność dotarła do Suwałk.

▮ W Krakowie odbył się 23. Festiwal Pierogów, czyli pięć dni, w których ciasto z farszem stało się towarem luksusowym. Można było zjeść wszystko: od tradycyjnych ruskich, przez bigosowe, aż po dubajskie w czekoladowym cieście z pistacjami. Portfele bolały: zwykły pieróg kosztował 5 zł, a te „z wyższych sfer" – nawet 7 i 10 zł za sztukę. Były konkursy na najlepsze ruskie. Dla równowagi – w ofercie znalazł się też barszcz ukraiński. Dyplomacja kulinarna ma przyszłość.

RJ

PS Powyższe informacje, choć zasługują na uwagę, winny być rozpatrywane z należytą rozwagą i powagą. Należy powstrzymać się od formułowania pochopnych konkluzji, w szczególności o charakterze prawno-procesowym. Trzeba mieć na względzie, iż prawda nierzadko nosi cechy lokalnej perspektywy, zaś sprawiedliwość, mimo utrwalonego w doktrynie określenia jako ślepa, w praktyce rzadko pozostaje całkowicie wolna od czynników subiektywnych.

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Przyczyn potwierdzenia dogmatów jest wiele. Jedną z częstych w historii bywało kwestionowanie prawd objawionych czy też wątpliwości, jak je należy interpretować. W przypadku wniebowzięcia Maryi trudno mówić o podważaniu tej prawdy w Kościele.* ***W XX w. zakwestionowano jednak godność człowieka, w tym jego cielesność za pośrednictwem różnych ideologii. Spowodowały one niewyobrażalne wręcz spustoszenie w populacji narodów, kulturze, mentalności i dobrach materialnych.*** *(…)* ***Uprzedmiotowiono także cielesność, czyniąc z niej źródło przyjemności. Dokonano również zamachu na ludzkie życie przed urodzeniem i w stanie terminalnym.*** *To wszystko jest kontekstem i znakiem czasu, w którym lepiej widać sens i przeznaczenie ludzkiej duszy i ciała.*

ks. Janusz Chyła, Tysol.pl, 15 sierpnia

■ *Informacja o planach zainstalowania ideologicznej tęczy w sercu Warszawy w sposób oczywisty budzi nasz sprzeciw i zgorszenie. (…)* ***Ten neobolszewizm, zwłaszcza środowisk lewicowo-liberalnych, jest coraz bardziej zauważalny. Lekceważeni są ludzie o poglądach tradycyjnych, narodowych, chrześcijańskich. A to jest związane z nowymi, modnymi, krzykliwymi i niezwykle płytkimi ideologiami o nastawieniu antychrześcijańskim.*** *I tę modę narzuca Rafał Trzaskowski. On chce i konsekwentnie do tego zmierza, aby nasza stolica stała się symbolem rozpusty, zgorszenia i dewiacji.*

prof. Wojciech Polak, historyk, przewodniczący Kolegium IPN, „Nasz Dziennik", 15–16 sierpnia

■ *Ministerstwo Edukacji Narodowej szykuje nowelizację Prawa oświatowego. W tym profilu absolwenta wyraźnie są określone ramy, do których ucznia będzie się dopasowywać.* ***Kończy się cywilizacja chrześcijańska, która wychowuje człowieka według jego zdolności (…). To jest absolutne odzieranie z godności.***

Barbara Nowak, „Nasz Dziennik", 13 sierpnia

■ *Obecny rząd od samego początku – to już dwa lata – nas prześladuje, dyskryminuje, nęka różnymi kontrolami. (…) Czy oni służą Polsce? (…)* ***W Polsce te rządy tworzą kasty, a katolicy, to jest taka kasta najniższa. Nas, katolików, można niszczyć, wyzywać, można księdza zamordować, a mordercy nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Można księdza pobić, można księdzu odebrać dobre imię, powiedzieć, że księża to jest zorganizowana grupa przestępcza.***

o. Tadeusz Rydzyk, TV Trwam, 10 sierpnia

■ ***Jestem oskarżany o rzekome pobicie i zrzucenie kobiety ze schodów. (…) Jeśli dojdzie do tego, że zostanę ukarany, to będzie oznaczało, że jest przyzwolenie do ataków na kościoły w przyszłości, a osoby, które wcześniej broniły kościołów, być może nie będą miały wystarczającej odwagi do tego, żeby stanąć na progu naszych świątyń i ich bronić.*** *(…) Mamy dzisiaj wojnę kulturową, wojnę cywilizacyjną. Jej ostrze jest wymierzone w Kościół.* ***Obrona tych, którzy bronią Kościoła katolickiego, powinna być czymś na trwałe wpisanym w ducha ludzi Kościoła.***

Robert Bąkiewicz, Radio Maryja, 8 sierpnia

KLECHA

Od biskupa do zera, czyli kariera po radomsku.

Zrezygnowani

W tekście KAI czytamy o młodym, energicznym proboszczu, który dzieli się swoją energią ze wszystkimi, a zwłaszcza z młodzieżą, dla której jego plebania jest zawsze otwarta.

12 lipca bp Marek Solarczyk z Radomia ogłosił, że jego biskupem pomocniczym został mianowany ks. Krzysztof Dukielski, proboszcz parafii w Magnuszewie. 6 sierpnia powiadomił, że jednak nie. Dukielski – podała kuria – sam zrezygnował z przyjęcia święceń biskupich. Nieoficjalnie powodem miały być kłopoty zdrowotne duchownego. 9 sierpnia Solarczyk wydał jeszcze jedno oświadczenie, w którym doprecyzował, dlaczego stało się tak, jak się stało.

Szydło z rozporka

Krzysztof Dukielski zrezygnował – a raczej „został zrezygnowany" – z biskupstwa, gdyż „po ogłoszeniu nominacji został zgłoszony fakt niewłaściwego zachowania kapłana wobec osoby małoletniej". Sprawa musi wyglądać dość poważnie, bo – jak czytamy w oświadczeniu bp. Solarczyka – „w trosce o dobro osoby pokrzywdzonej oraz porządek publiczny Kościoła na ks. Krzysztofa Dukielskiego zostały nałożone odpowiednie środki zapobiegawcze. Dalsze decyzje w jego sprawie będą podejmowane zgodnie z właściwymi przepisami prawa kościelnego". I chuj pastorał strzelił, a może i sutannę trzeba będzie zdjąć.

Przed kilkoma laty podobny przypadek miał miejsce w Krakowie – tam jak zawsze ambaras z biskupami. Z kościelnych zaszczytów w 2019 r. zrezygnował ks. Franciszek Ślusarczyk, postać w archidiecezji wpływowa i ustosunkowana. Miał zostać pomagierem Jędraszewskiego, nominację także oficjalnie ogłoszono, ale po kilku dniach „zrezygnował". Co wówczas wypłynęło, do dziś nie wiadomo, gdyż abepe Jędraszewski nie słynie do zamiłowania do transparentności. Jako nagrodę pocieszenia Ślusarczyk dostał probostwo w jednej z krakowskich parafii, ale w purpurach już w tym wcieleniu nie poparaduje.

Przyjaciele młodzieży

W przypadku radomskim przynajmniej głośno powiedziano, za co biskup-nominat poleciał. Gdyby nie odpuścił awansu w porę, obecny szef diecezji miałby podwójny problem. Poprzednikiem Solarczyka był Henryk Tomasik, na którego w 2019 r. Watykan nałożył trzyletni zakaz publicznego pokazywania się za ukrywanie pedofila w sutannie, ks. Stanisława S., byłego kapelana Solidarności, wychowawcy młodzieży i harcerza. Zakaz publicznego sprawowania nabożeństw już nie obowiązuje, a Tomasik wrócił na salony, m.in. bierzmując młodzież, co się osobliwie rymuje z tym, kogo krył.

Krzysztof Dukielski to równie wielki przyjaciel młodzieży. Jak się okazuje, aż za wielki. Niedoszły biskup był m.in. zastępcą dyrektora Krajowego Biura Światowych Dni Młodzieży związanym z Ruchem Światło-Życie, gdzie małolatów od metra. Jak na ironię inny ksiądz z diecezji radomskiej, były dyrektor Krajowego Biura Światowych Dni Młodzieży oraz diecezjalny duszpasterz młodzieży, niedawno zasiadł na ławie oskarżonych. Ks. Mariusz W. jest oskarżony o wykorzystywanie seksualne młodych kobiet i podżeganie do składania fałszywych zeznań, za co może posiedzieć nawet 12 lat. Trzeba przyznać, że solidne mają kadry w tej diecezji.

Luźne spotkania

Nie żeby coś, ale w przypadku Dukielskiego też były znaki. W 2022 r., niedługo po tym, jak zrezygnowany biskup został proboszczem w Magnuszewie, Katolicka Agencja Informacyjna sprezentowała mu laurkę, która dziś może służyć za epitafium.

„Plebania w Magnuszewie koło Kozienic w diecezji radomskiej stała się miejscem, gdzie młodzież może realizować swoje pasje i zainteresowania oraz pogłębiać swoją wiarę. Z inicjatywą wystąpił ks. Krzysztof Dukielski, który od ubiegłego roku jest proboszczem parafii św. Jana Chrzciciela w Magnuszewie. Plebania jest otwarta nie tylko dla młodzieży z Magnuszewa, ale również z pobliskich Kozienic, Ryczywołu czy Mniszka. Ks. Dukielski chce utworzyć przy plebanii dom parafialny, a nadzieję pokłada w młodych, bo jak mówi: oni nadadzą temu miejscu wyjątkowy charakter. Charakter spotkań jest luźny. Jest to nowa forma aktywizacji młodzieży i ewangelizacji, która dopiero się kształtuje. To sami młodzi mają określić swoje potrzeby. Dlatego oprócz studiowania Słowa Bożego można zagrać w piłkarzyki, gry planszowe, obejrzeć film lub zwyczajnie napić się kawy i porozmawiać" – cukrowała KAI niedoszłemu hierarsze. Jak się dziś okazuje, form aktywności do wyboru było więcej.

Omylny papież

To pierwsza personalna wpadka Leona XIV związana z Polską. Można by tłumaczyć, że przecież skąd miał wiedzieć, dopiero się urządza w Watykanie i trzeba mu dać taryfę ulgową. Tylko że zanim został papieżem, był szefem Dykasterii ds. Biskupów, czyli urzędu zajmującego się ni mniej, ni więcej nominacjami biskupimi. Do tej pory zresztą nie mianował swojego następcy, ufając zapewne swoim intuicjom sprzed rozpoczęcia pontyfikatu. Członkiem tej samej dykasterii jest też Polak kard. Grzegorz Ryś, chwalony za swoje wypowiedzi o uchodźcach i Żydach. Podobno w trakcie typowania nowego biskupa nuncjusz (papieski ambasador w danym kraju) rozpytuje nawet kilkadziesiąt osób o delikwenta, który ma widoki na karierę. W tym przypadku przepytał co najmniej jedną za mało, ale sama się zgłosiła. Do obsadzenia nadal pozostaje tron biskupi w Krakowie, na nowego szefa czeka też archidiecezja katowicka. Może w przyszłości nowy papież będzie miał więcej szczęścia.

Rys. TOMASZ WIATER

MATT KOBOSKO

Nie-KPO-kalani

Rydzyk w klubie dla swingersów

Dyrektor Radia Maryja, niczym Karol Nawrocki, wiele jest w stanie po chrześcijańsku wybaczyć. Zdzierży plucie na jego dzieła w lewackich mediach, przełknie każdą osobistą zniewagę, wytrzyma insynuacje na temat posiadanego majątku. Ale realnych pieniędzy przechodzących mu koło nosa ot tak odpuścić nie może.

Afera z pieniędzmi z Krajowego Planu Odbudowy, które poszły w szemranych okolicznościach na szemrane przedsięwzięcia, musiała poruszyć jednego z najsprawniejszych pożeraczy dotacji w Polsce, jakim jest Tadeusz Rydzyk. Musiało mu się ulać, nie było innej opcji. A ponieważ ma możliwość publicznego wylewania swoich żali we własnych mediach, uczynił to w swoim niepodrabialnym stylu. – Zamiast wspierać wszystkie sektory równomiernie, skoncentrował się na finansowaniu wybranych grup i projektów, które często pomijają tych, którzy najbardziej potrzebują pomocy – utyskiwał na rząd Rydzyk, a wiemy, kto według niego jest najbardziej potrzebujący. Przypomnijmy że jest to człowiek, któremu bezdomni dają samochody. Ojciec dyrektor podzielił się także refleksją natury politologicznej i socjologicznej. – W Polsce te rządy tworzą kasty, a katolicy to jest taka kasta najniższa. Nas katolików można niszczyć, wyzywać, można księdza zamordować, a mordercy nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Można księdza pobić, można księdzu odebrać dobre imię, powiedzieć, że księża to jest zorganizowana grupa przestępcza – wyliczył na antenie Radia Maryja. Szanowny Dyrektorze: zamordować ani pobić nie można; żeby odebrać dobre imię, to wpierw księża musieliby je mieć; co zaś do zorganizowanej grupy przestępczej, to coś w tym jest.

Przy żadnej kwestii Rydzyk się tak nie odpala jak przy pieniądzach. Nawet aborcja czy gender go tak nie jarają jak hajs. Doskonale wie, że aby mieszać ludziom w głowach, potrzebne są mu kupy szmalu. Afera z KPO jest łatwa do wytłumaczenia słuchaczom Radia Maryja: padają w niej wyobrażalne kwoty rzędu kilkudziesięciu czy kilkuset tysięcy złotych. Przy miliardach większość zaczyna boleć głowa, ale jacht czy ekspres do kawy każdy jest w stanie sobie wyobrazić. No i oczywiście klub dla swingersów, gwóźdź programu. Przepalanie wspólnych pieniędzy plus lewackie zepsucie to idealny miks dla odbiorców mediów z Torunia. Rydzyk nie poprzestał na własnej tyradzie przeciwko rządowi Tuska. W Radiu Maryja i Telewizji Trwam urządzono specjalny seans poświęcony aferze. Bite trzy godziny „Rozmów niedokończonych" – sztandarowego programu publicystycznego toruńskich mediów – zostały przeznaczone na wyjaśnianie tej kwestii, łącznie z telefonami od słuchaczy. Tak żeby nikt nie miał wątpliwości, że afera jest, czego dotyczy i kto na niej zarobił. Emerytki wysyłające Rydzykowi część głodowej emerytury pewnie nie mogły tej nocy zasnąć, zwłaszcza dowiedziawszy się, na jakie bezeceństwa Tusk i jego banda przetransferowali olbrzymie środki do krewnych i znajomych królika.

Nie można pominąć faktu, że na eksperta od przepierdalania publicznych pieniędzy Rydzyk powołał… Jacka Sasina. Nie sposób pracownikom i szefowi Radia Maryja odmówić subtelnego poczucia humoru. Oprócz „Rozmów niedokończonych" z Sasinem było jeszcze 15 minut w „Aktualnościach dnia", żeby się odpowiednio utrwaliło.

Były wicepremier i minister aktywów państwowych, odpowiedzialny w rządzie Morawieckiego za spółki skarbu państwa i organizację wyborów kopertowych, jak gdyby nigdy nic perorował o marnotrawstwie pieniędzy z KPO.

Sasin niespeszony wykładał, jak powinno się dysponować taką kasą, za nieprawidłowości obciążając osobiście Tuska. – Pomija się przy tym fakt, że wiceministrem w tym resorcie, odpowiedzialnym właśnie za KPO, odpowiedzialnym za rozpatrywanie tych wniosków, które zrodziły tyle patologii, jest człowiek Tuska; jego najbliższy współpracownik, dawniej prezydent Sopotu, a obecnie poseł Karnowski. To jest człowiek, który grał z Tuskiem w piłkę, to jest jego kumpel. To jest rzeczywiście jego zaufana osoba, więc można powiedzieć, że Tusk poprzez swojego kumpla rozdzielał te pieniądze na jachty, na ekspresy do kawy, na kluby swingersów, na wizyty w Tajlandii w salonach masażu – nie bez podniecenia w głosie demaskował poseł PiS. „Wina Tuska" nadal na pierwszym miejscu radiomaryjnej listy przebojów. Ten szlagier nigdy się nie znudzi.

Trudno się dziwić irytacji i frustracji Rydzyka, który za poprzednich rządów łykał dotacje jedna za drugą, tak że uzbierało się tego kilkaset dużych baniek. Poza tym sam jest także przedsiębiorcą hotelarskim, więc chętnie zakupiłby jakiś jacht dla toruńskiego Domu Pielgrzyma albo rowery elektryczne dla sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji. Klub swingersów przy tymże również brzmi kusząco. Wsparciem merytorycznym mogą posłużyć eksperci z Ordo Iuris.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl f5c8ff8e4d

Parada oszustów

Do głowy by mi nie przyszło, że w rubryce sportowej będę pisać o politykach.

Wyobraźmy sobie czysto teoretycznie, że w Anchorage na Alasce jest pole golfowe. Oczywiście klimat nie sprzyja tam uprawianiu tego sportu. Lata są krótkie i chłodne, a zimy mroźne. Ze sportów najpopularniejsze są na Alasce wyścigi psich zaprzęgów. Ale czysto hipotetycznie możemy przedstawić sobie golfowy pojedynek przywódców USA i Rosji.

W golfie Donald Trump miałby przewagę nad Władimirem Putinem. Nie tylko dlatego, że prezydent USA zajmuje się tym sportem od wielu lat i ma nawet własne pola golfowe. The Trump Organization posiada lub zarządza osiemnastoma polami golfowymi na całym świecie, a według zeznania podatkowego przed wyborami prezydenckimi dochody z golfowisk wyniosły w 2015 r. 382 mln dol. Ludzie znający się na tym sporcie twierdzą, że jak na swój wiek Trump sprawnie posługuje się golfowym sprzętem. Putin wolałby zapewne zagrać w hokeja lub latać z żurawiami, bo takimi wyczynami już się popisywał.

Trenażer z dopingiem

Donald Trump kazał zainstalować w Białym Domu trenażer do gry w golfa. Znam to urządzenie. Krótko po zmianie ustroju w ówczesnym Hotelu Marriott zainstalowano je, a obok znajdował się barek z napojami alkoholowymi. W tym czasie kapitalizm uderzył mi do głowy, więc czym prędzej udałem się do Marriotta i windą wjechałem na odpowiednie piętro. Zapłaciłem za wstęp, dostałem kij golfowy i piłeczkę. Przede mną był ekran, na którym mogłem wyświetlić sobie wybrane pole golfowe. Z podłogi uderzałem kijem w ekran, a komputer przeliczał wszystko tak, jak gdybym rzeczywiście zagrał. Po kilku uderzeniach – nieudanych, jak wyliczył komputer – zrobiłem w tył zwrot i udałem się do baru, bo jeszcze nie byłem abstynentem, a wręcz przeciwnie. To była moja jedyna wizyta przy golfowym trenażerze. Doszedłem bowiem do wniosku, że jeśli chcę się napić, taniej wyjdzie mi w barze bez golfa. Ale to była tylko dygresja.

O oszustwach Putina można napisać powieść. Dość wspomnieć o „zielonych ludzikach", którzy nagle pojawili się na Krymie i do których Rosja się nie przyznawała, dopóki nie zajęli całego półwyspu. W sporcie putinowska Rosja też ma sporo „zasług", zwłaszcza w dziedzinie stosowania niedozwolonego dopingu.

Doping zdarza się wszędzie, w Polsce także. Problem w tym, że wyspecjalizowane organizacje (u nas Polska Agencja Antydopingowa POLADA) starają się go wykryć, a winnych ukarać. Podczas zimowych igrzysk olimpijskich w Soczi, które były oczkiem w głowie Władimira Putina, rosyjskie ministerstwo sportu i tamtejsza organizacja antydopingowa same podawały zawodnikom niedozwolone preparaty. Putin chciał mieć w Soczi jak najwięcej medali potwierdzających jego mocarstwowe ambicje. Wcześniej podobny proceder wykluczył z zawodów rosyjskich lekkoatletów.

Pierwszy golfista świata

Wracajmy do Anchorage na Alasce i meczu na nieistniejącym polu golfowym. Załóżmy – znów czysto hipotetycznie – że specjalna grupa zadaniowa przygotowała Władimira Putina do mistrzowskiego wbijania kijem piłeczki do golfowych dołków. Dopiero zaczęłaby się ostra jazda. Problem w tym, że obaj przywódcy lubią oszukiwać. W golfie Putin na razie nie miał okazji do szachrajstw, Trump – jak najbardziej. Ostatni raz bardzo niedawno.

Przed spotkaniem z Putinem na Alasce Trump przebywał w Szkocji i rozmawiał tam z premierem Wielkiej Brytanii oraz innymi europejskimi przywódcami. Nie byłby sobą, gdyby nie odwiedził jednego z pól golfowych zarządzanych przez jego korporację. Oczywiście poczynania osoby nazywającej siebie najważniejszym człowiekiem świata śledziły kamery telewizyjne. I – jeśli można tak powiedzieć – na oczach tych kamer Donald Trump na polu golfowym dopuścił się oszustwa.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Na telewizyjnych obrazach widać, jak prezydent Trump podjeżdża wózkiem w miejsce, w którym miała się znajdować uderzona przez niego piłeczka. Rzeczywiście tam się znajdowała, ale tylko dlatego, że podrzucił ją prezydencki caddie. Caddie to pomocnik golfisty. Wszyscy, którzy oglądali zawody w tym sporcie, widzieli faceta noszącego torbę z kijami za zawodnikiem. Caddie nie jest jednak jakimś pachołkiem gracza, któremu nie chce się nosić sprzętu. Tylko on podczas zawodów ma prawo rozmawiać z zawodnikiem i przekazywać mu uwagi. Prezydencki caddie u Trumpa ma za zadanie pomagać swojemu golfiście oszukiwać.

Problem w tym, że niedawne oszustwo w Szkocji nie było jedynym, na jakim przyłapano Trumpa. Norweska zawodowa golfistka Suzann Pettersen, która grała kiedyś z obecnym prezydentem USA, stwierdziła: „Niezależnie jak daleko pośle w las piłkę Trump, zawsze znajdziemy ją na środku pola, gdy dojdziemy na miejsce". Główny komentator sportowy programu NBC „Sunday Night Football", Mike Trico, tak wspomina swoją grę z Donaldem Trumpem: „Oddałem strzał życia, umieszczając piłkę za pierwszym uderzeniem tuż obok dołka. Gdy dotarliśmy na miejsce, znaleźliśmy ją 50 metrów dalej".

„New York Post", największy amerykański tabloid (dodajmy uczciwie: nieprzychylny Trumpowi), napisał dosadnie: „Powiedzieć, że Donald Trump oszukuje, to jak powiedzieć, że Michael Phelps pływa. Oszukuje na najwyższym poziomie. Oszukuje, gdy ludzie patrzą i gdy nie patrzą. Jeśli grasz z nim w golfa, bądź pewien, że będzie oszukiwać".

Kolekcjoner

Golfista tej klasy co obecny prezydent USA musi oczywiście mieć imponującą kolekcję trofeów. Już niestety nie mogę sobie przypomnieć, który z dziennikarzy i kiedy – ale na pewno było to przed obecną kadencją prezydenta – przyjrzał się uważnie ustawionym na półkach pucharom.

Większość była nagrodą za zajęcie pierwszego miejsca podczas zawodów na polu golfowym niedaleko należącej do Trumpa posiadłości Mar-a-Lago. Gdy później dziennikarz sprawdził, kto uczestniczył w tych turniejach, okazało się, że najczęściej był to tylko jeden zawodnik: oczywiście Donald Trump.

Donald Trump kolekcjonuje nagrody sportowe. Ostatnio jego kolekcja wzbogaciła się o trofeum za mistrzostwo klubowe w europejskim futbolu, czyli – mówiąc po amerykańsku – w soccerze. W finale tej imprezy dość niespodziewanie piłkarze Chelsea Londyn pokonali drużynę Paris Saint-Germain, i to aż 3:0. Okazały puchar wręczał osobiście prezydent USA, który nie chciał zejść z podium, gdy Londyńczycy cieszyli się z trofeum, mimo że nie był członkiem ekipy. Pal sześć, to kwestia dobrego wychowania, nie wypada kraść show bohaterom wydarzenia. Najgorsze, że Trump zdradził później, że piłkarzom wręczył tylko kopię pucharu. Oryginał został u niego w Gabinecie Owalnym Białego Domu.

Jak do tego doszło? Szef FIFA Gianni Infantino od dawna kręci się przy Trumpie. Był także na jego prezydenckiej inauguracji i wszędzie wsadzał przed kamery swoją łysą głowę, tak żeby cały świat mógł zobaczyć, jaka zażyłość łączy go z włodarzem Białego Domu. Przed rozgrywanym w USA turniejem o klubowe mistrzostwo świata Infantino odwiedził Trumpa w Białym Domu i zademonstrował trofeum. Przy okazji miał poinformować gospodarza, że może je zachować na własność, bo właśnie tworzona jest jego kopia, która wręczona zostanie zwycięzcom.

Przywódcy zdecydowanej większości państw lubią się pokazywać ze sportowcami, tak było zresztą już w starożytności. My doskonale pamiętamy powitanie w Polsce drużyny Kazimierza Górskiego, która podczas mistrzostw świata w Monachium zajęła trzecie miejsce. Gospodarzem był I sekretarz KC PZPR Edward Gierek, a towarzyszyli mu przedstawiciele najwyższych władz partyjno-rządowych z premierem Piotrem Jaroszewiczem na czele. Tow. Gierek podziękował drużynie za wspaniały prezent, jaki zgotowała naszej socjalistycznej ojczyźnie. Kapitan Kazimierz Deyna w prostych słowach odniósł się do słów przywódcy, a później, no cóż, towarzysze, myślę, że powinniśmy napić się szampana – stwierdził Edward Gierek i kelnerzy wnieśli tace z kieliszkami pełnymi musującego napitku. Dobrze pamiętam tę scenę, bo jak wszyscy Polacy oglądałem ją z sercem przepełnionym dumą.

Jakoś nie przypominam sobie, czy Gierek i inni przywódcy PRL przychodzili na stadiony. Po zmianie ustrojowej zawsze było ich pełno i z lewej, i z prawej strony sceny politycznej. Nie tylko prezydentów i premierów, także pomniejszej rangi działaczy. Szczególnie wyróżniał się niejaki Ryszard Czarnecki, który chyba sport przyjął jako trampolinę do kariery politycznej, a przy okazji do nabijania sobie kieszeni. Jego pucułowatą buzię widzieliśmy na turniejach siatkarskich, meczach żużlowych i piłkarskich. Kibice mieli go w końcu dość, gwizdali na niego, ale Ryszarda Czarneckiego nic nie potrafiło zniechęcić. Dopiero jak zajęła się nim prokuratura, zniknął ze sportowych aren. Ale wróci, zobaczycie.

Tajemnice Kremla

Znów odbiegłem od głównego tematu. Ma być o Trumpie i Putinie. Donalda Trumpa, który jeszcze nie był prezydentem, widziałem podczas zawodów UFC, najbardziej znanej i cenionej organizacji mieszanych sztuk walki, czyli MMA. Zajmował miejsce tuż przy klatce, w której walczyli zawodnicy, a gdy zwarli się blisko polityka, ten głośno doradzał im, co mają robić. Oczywiście dokładnie słów nie słyszałem, ale co mógł wykrzykiwać? „Uderzaj łokciem w skroń" albo „kop kolanem w wątrobę" – takie są bowiem zasady tego sportu.

Innym brutalnym sportem, który uwielbia Donald Trump, jest amerykański football. Każdy zawodnik, który wychodzi na boisko, wie, że będzie bardzo bolało. Zwieńczeniem sezonu jest Super Bowl, mecz o mistrzostwo ligi NFL. To nie tylko wydarzenie sportowe oglądane przez setki milionów widzów na stadionie i w telewizji. Super Bowl jest częścią amerykańskiej obyczajowości. Nie będę się nad tym rozwodzić, kiedyś pisałem o Super Bowl obszernie.

Donald Trump jest pierwszym urzędującym prezydentem, który osobiście na stadionie oglądał mecz. Zanim zasiadł na trybunie honorowej obok córki Ivanki i syna Erika (żony Melanii nie było), zszedł na boisko i podał dłoń zawodnikowi Kansas City Chiefs Chrisowi Jonesowi. Warto zaznaczyć, że między władzami NFL (ligi footballowej) a prezydentem USA trwa konflikt. O ile Trump wciąż zaostrza retorykę skierowaną przeciw społeczności LGBTQ (podpisał rozporządzenie uniemożliwiające udział w zawodach osobom transpłciowym oraz cofnął szereg posunięć poprzedniej administracji liberalizujących określanie płci w dokumentach państwowych), o tyle szefowie NFL przejawiają wiele inicjatyw włączeniowych, co nie podoba się obecnym władzom.

Dość już o Trumpie. Jego przeciwnik, a może już partner ze spotkania w Anchorage ma chyba bliższe stosunki ze sportem. Oczywiście bywał na zawodach (dopóki Rosji z nich nie wykluczono), nagradzał sportowców i sportsmenki, szczególnie fetował zdyskwalifikowaną podczas igrzysk olimpijskich w Pekinie za stosowanie dopingu 15-letnią wówczas Kamilę Walijewą. Po powrocie do kraju witał ją jak bohaterkę narodową i nagrodził państwowym odznaczeniem.

Szczególnie bliski związek łączył, a może nadal łączy, Władimira Putina z byłą gimnastyczką artystyczną Aliną Kabajewą, która po zakończeniu kariery sportowej zaczęła robić błyskawiczna karierę polityczno-biznesową. Życie prywatne przywódcy Rosji otoczone jest ściślejszą tajemnicą niż lokalizacja rakiet z bronią nuklearną. Długo nikt nie widział choćby fotografii córek Putina z pierwszego małżeństwa.

Gdy mieszkałem w Petersburgu, poznałem kilka osób z obrzeża rosyjskiej władzy. Według nich Putin i Kabajewa pobrali się w cerkwi w miejscowości Wałdaj, a wesele odbyło się w położonej niedaleko luksusowej willi prezydenckiej. Ponoć mają dzieci, ale nie zapraszają ich na trybunę honorową podczas zawodów sportowych. Później gruchnęła wieść, że się rozstali, ale diabli ich wiedzą. Faktem jest, że Kabajewa jest ładna, że była złotą medalistką olimpijską, a jej poglądy są zbieżne z putinowskimi: „Opozycjoniści są nikczemnikami, którzy powinni gnić w więzieniach".

Jaki więc jest wynik spotkania prezydentów w Anchorage? Spotkali się dwaj oszuści. Jeden wyuczony na polach golfowych, drugi w szkole KGB. To jasne, że ten drugi musiał wygrać.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 20.08.2025 r.

eprasa.pl f5c8ff8e4d

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Prezydent Karol Nawrocki siedział przed telewizorem i płakał rzewnymi łzami. Atmosfera straconych złudzeń i zawiedzionych uczuć udzieliła się również Adamowi Andruszkiewiczowi, wiceszefowi kancelarii, który łkał jak dziecko z niepełnosprawnością. Przełożony Andruszkiewicza, minister Zbigniew Bogucki, trzymał się jakoś, choć rozczarowanie łamało mu głos. Jedynie Marcin Przydacz, szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej, zachowywał zimną twarz, na której błąkała się dobra mina do jakże złej gry.

– Nawet nie wiem, kto to jest… – mazał się Nawrocki.

– Prezydent Republiki Finlandii Alexander Stubb – wyjaśnił Przydacz i patrząc Nawrockiemu prosto w oczy, dodał z całą bezwzględnością: – Nowy facet twojego faceta.

– Co on ma takiego, czego nie mam ja? – rozpaczliwie spytał prezydent Rzeczpospolitej Polskiej, do którego prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki jeszcze niedawno mówił przez telefon „mój słodki Charlie" i obiecywał mu zlizywać Coca-Colę z klatki piersiowej.

– Fofli o fofla – wtrącił się Andruszkiewicz, który na co dzień mówił niewyraźnie, a co dopiero gdy był tak wzruszony jak dziś.

– Chodzi o golfa – przetłumaczył Bogucki, za co jego bezpośredni podwładny podziękował mu skinieniem.

– O golfa?! – jęknął Nawrocki. – Mógł przecież powiedzieć, to bym skombinował jakiegoś golfa…

– Nie idzie o samochód – ponownie wyjaśnił Przydacz.

– Wdzianko? No to tym bardziej… – Prezydent rozpłakał się jak bóbr.

–To gra! – wybuchł Przydacz. – Kije, piłki, dołki, chorągiewki, caddies…

Pozostali prezydenccy urzędnicy postawili oczy w słup.

– Fo? – zafaflunił Andruszkiewicz.

– Kadis, pisze się caddies, liczba pojedyncza caddie, oznacza pomocnika. Zwykle nosi torbę z kijami i dłuży dobrymi radami.

– Czyli chodzi o kija – ciężko westchnął Bogucki. – No to nic dziwnego, że został wybrany jakiś Fin. O twoim kiju, Karol, można wszystko powiedzieć, tylko nie to, że…

Przerwał mu okrzyk takiej żałości, że niezależnemu obserwatorowi tej sceny serce by się krajało. Ale nie było niezależnego obserwatora. Był za to Andruszkiewicz, który zapytał przez łzy: – O fo fofi f fym fijem?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN zachwyciła się sarkazmem Zełenskiego. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** – dresem Ławrowa.

Senyszyn: – Znowu będziesz tę ruską propagandę uprawiać?

Wołk-Łaniewska: – No coś ty, za to można pójść siedzieć. Ale rosyjski minister spraw zagranicznych przybywający na spotkanie z prezydentem USA z bluzie od dresu z napisem CCCP – po naszemu ZSRR – to jednak sztos jest. I potem jeszcze wytłumaczył w wywiadzie, że Związek Radziecki to „część naszej historii, którą trzeba chronić, czasem z odrobiną humoru". A kolektywny Zachód się tak oburzył, że było warto.

– Podobnie jak kolektywny dwór Trumpa w lutym, kiedy Zełenski przybył do Białego Domu bez marynarki i ponoć nie był dość wdzięczny, co – według amerykańskiej administracji – przyczyniło się do klęski tamtej rozmowy.

– Zderzenia dwóch narcyzów nieprzyzwyczajonych do dźwięku słowa „nie" przeważnie nie kończą się przyjaźnie. Z tym że Trump ma większego…

– Kogo niby?

– Narcyzma…

– Aha. Ciekawa odmiana.

– Moja siostra by mnie opieprzyła, że jestem „królową dopełniacza". Ale czasem dopełniacz, choć niegramatyczny, jest niezbędny… Wracając do Zełenskiego...

– Wbił się, jak pewnie widziałaś, w czarną marynarę.

– Zaprojektowaną specjalnie dla niego przez kijowskiego designera Wiktora Anasimowa…

– A skąd ty masz takie wiadomości?

– „New York Times" cały tekst o tym napisał. Anasimow wyjaśnił, że „kapsułowa kolekcja miała na celu zachowanie idei munduru wojskowego, a jednocześnie ponowne wyobrażenie go sobie z perspektywy nowoczesnego designu, w celu stworzenia powściągliwego, funkcjonalnego i dostojnego wizerunku odzwierciedlającego rzeczywistość czasów, w których żyje nasz kraj"…

– Fascynujące.

– Prawda? Dostrzegł to redaktor Brian Glenn z MAGA mediów – ten sam, który w lutym zapytał Zełenskiego w Gabinecie Owalnym, czy nie posiada garnituru.

– A tym razem mu powiedział, że „wygląda bajecznie", na co Zełenski odparował, że on się przebrał, ale Glenn ma ten sam garnitur co zeszłym razem.

– Glenn wyróżnił się także tym, że na Alasce dostał flaszkę Bieługi od rosyjskiego reportera, o czym nakręcił filmik na Twittera.

– To musi być niezwykle interesujący żurnalista… Wracając do Zełenskiego: nauczony lutowym doświadczeniem, na dobry początek, w ciągu pierwszych 10 sekund aż cztery razy powiedział „dziękuję", bez dodatku „za zaproszenie"; ze wzmocnieniem „bardzo" – za osobiste starania Trumpa, by zatrzymać zabijanie i zatrzymać tę wojnę; znowu bez wzmocnienia „za skorzystanie z tej okazji"; i ponownie z dodatkiem „bardzo" – prezydentowej. Pewnie mógłby jeszcze dzieciom – wszystkim razem i każdemu z osobna, ale może nie chciał przesadzić, żeby Trump się nie zorientował, że sobie robi jaja.

– Tego bym się nie obawiała.

– Może masz rację. Pewnie mógłby spokojnie i dziesięć razy dziękować…

– Jedenaście.

– Co jedenaście?

– Jedenaście razy powiedział *thank* z różnymi dodatkami w ciągu czterech i pół minuty swobodnej wypowiedzi.

– Trzeba przyznać, że ma iście kozacką fantazję. Pasującą do ego Trumpa. CNN podsłuchała, że przed rozmowami mówił do Macrona: „Myślę, że Putin chce zrobić ten deal dla mnie, jakkolwiek szaleńczo to brzmi".

– Widzisz? I nawet bluza ministra Ławrowa nie wybiła go z tego przekonania. „Tak łatwowierną bywa nasza miłość własna" – jak trafnie zauważa Cyrano de Bergerac – że mało kto się łapie, że sobie z niego jaja robią.

– I to, moim zdaniem, byłby też właściwy sposób komunikowania się naszego rządu z prezydentem Nawrockim. Za każdym razem, jak złoży ustawę, natychmiast nadać numer druku, zrobić konferencję prasową, podziękować głowie państwa za inicjatywę, zadeklarować wolę współpracy dla dobra rodaków…

– A potem do zamrażarki?

– Cóż, czasem tak bywa z ustawami… Zmieniając temat: bo musimy opowiedzieć o Zlocie Ateistów.

– Racja. Cudnie było.

– Absolutnie.

– Szczególnie światusy nam się podobały.

– To – wyjaśnijmy – świadkowie Jehowy, którzy odeszli od wiary i teraz sieją bluźnierstwa w sieci. Sara i Edwin urodzili się w rodzinach świadków Jehowy, tam się poznali i pobrali, wiele lat zabrało im wyzwolenie się, a teraz pomagają innym, którzy przechodzą tę samą drogę. Znakomici młodzi ludzie.

– Pełna zgoda. I jeszcze była świetna Basia, która opowiadała o voodoo w Afryce. Myślę sobie, że gdybym musiała wybrać jakąś religię, to jednak wolę voodoo od jehowych… Acz jeśli o mnie chodzi, to nie voodoo, tylko santerię, która jest podobną religią synkretyczną, gdzie orisze są maskowane jako katoliccy święci, tylko uprawianą na Kubie. Ale à propos religii: chciałam ci opowiedzieć o Marku Jurku…

– Koniecznie?

– Tak, bo to bardzo zabawne. Otóż był on niedawno w Polsacie i ogłosił, co jest „wielkim nieszczęściem" Kościoła katolickiego.

– Chciwość? Żądza władzy? Pedofilia?

– A gówno. Otóż wielkim nieszczęściem jest to, że w języku polskim „Kościół" jest rodzaju męskiego, inaczej niż po włosku, rosyjsku, francusku czy łacinie. Bo gdyby to była „ta Kościoła"…

– Kościelica może?

– Nawet lepiej. Otóż gdyby to była ta Kościelica, to mówienie o niej jako o matce byłoby „o wiele bardziej naturalne". W tym sensie – czekaj, zapisałam sobie – że „my indywidualnie, nasza świadomość, nasze życie moralne, i tak dalej, urodziło się w Kościele tak jak człowiek w łonie matki". Rzeczywiście: w tym zdaniu „w łonie Kościelicy" bardziej by pasowało. Ale z drugiej strony, kobiety rzadziej gwałcą dzieci, więc męski rodzaj Kościoła wydaje mi się jakoś bardziej stosowny.

– Można nawet powiedzieć, że proroczy.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl f5c8ff8e4d